WIELKANOC 1953

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok IX | Warszawa, 5–6 kwietnia 1953 r. | Nr 14 (384)

W NUMERZE m. in.:

ŚLADEM STÓP JEZUSA W JEROZOLIMIE

W. SEŃKO — Dusza i ciało

Z. CZAJKOWSKI — Wizja staje się rzeczywistością

J. OSTASZEWSKI — Od Hyjdli do Jadzi

L. PROROK — Krewniacy

A. ODNOWA — Hauptmann po raz pierwszy po wojnie

Giovanni Francesco Barbieri zwany Guercino (1591—1666)—Chrystus i niewierny Tomasz

Mieczysław KURZYNA

Zmartwychwstanie

*MÓWI o Zmartwychwstaniu św. Paweł: „A jeśli Chrystus nie powstał, daremna jest wiara nasza, dotąd bowiem jesteście w grzechach waszych. Tedy i ci, którzy posnęli w Chrystusie, poginęli. Jeśli tylko w tym życiu pokładamy nadzieję w Chrystusie, nędzniejsi jesteśmy niż wszyscy ludzie. A jednak Chrystus zmartwychwstał jako pierwociny tych, którzy posnęli" *). Jest w tych słowach zaakcentowanie wagi dogmatu o Zmartwychwstaniu dla całej wiary religijnej katolicyzmu, jest świadectwo faktu sprzed blisko dwu tysięcy lat, dawane przez człowieka, który stwierdza o zmartwychwstałym Bogu-Człowieku, że „ukazał się i mnie', jest to wreszcie wspaniałe, aż wstrząsające przypomnienie ostatecznego celu człowieka. Wszystko, cokolwiek czynimy, cała nasza działalność codzienna, zabiegi i troski, dalekosiężne plany i wielkie zamierzenia muszą być przecież podporządkowane wyznawanemu katolickiemu poglądowi na świat, muszą być podporządkowane ostatecznemu celowi człowieka zmartwychwstającego na wieczność.*

Czy umniejsza to wagę obowiązków doczesnych, czy pozwala je odsuwać i lekceważyć? Naturalnie nie. Przecież od sposobu ich wypełniania zależy nasze wieczne szczęście lub wieczne nieszczęście. Ale pewność, że zmartwychwstaniemy, że zmartwychwstać musimy na wspaniałe oglądanie Boga przez wieczność, lub na mękę wiecznego Jego braku — zupełnie inaczej ustawia katolika na świecie i daje mu inny stosunek do własnego życia.

Ta sprawa bywa niekiedy nieściśle rozumiana. Budzi pogardę świata. Ba! Bywały w historii Kościoła sekty, które próbowały uzasadnić konieczność zniszczenia świata doczesnego, które wyrażały przekonanie, że Stwórca jest zarazem wrogiem swego dzieła. Zostały potępione przez najwyższy autorytet, zostały zapomniane przez ludzi.

Jesteśmy tu i w tym życiu mamy, jako jednostki, jasne zadania, wyznaczone przez obowiązki własnego stanu i przez nakazy miłości bliźniego. Dlatego pracujemy — ręką czy umysłem. Czynimy to dla siebie i innych, a z naszego jednostkowego trudu powstaje poprzez wieki kultura i cywilizacja, wielki dorobek ludzkości.

I naturalnie pracę swoją wypełniać musimy jak najlepiej już z samej jej istoty, jak również ze względu na ten wspomniany jej cel społeczny. A dla katolika jakość jego trudu wyznaczona jest także przez świadomość służby Bogu. Radość osiągnięcia doczesnego, ta wspaniała i jasna radość dokonanego dzieła i utysiąckrotnienia własnych możliwości nie może rodzić w nas niebezpieczeństwa zapomnienia o celu ostatecznym. O celu, ku któremu zdążamy poprzez pełną trudu wędrówkę naszą na ziemi. O Bogu. O Jezusie Chrystusie, który śmiercią Swoją nas odkupił, otwierając nam bramy żywota wiecznego.

Mówi stara pieśń kościelna: „I my mamy zmartwychwstać, z Panem Bogiem królować". Będziemy śpiewać ją wraz z całym Kościołem, wspominając największą prawdę chrześcijaństwa. Niech jej melodia nie ulegnie szybkiemu zapomnieniu. Żyjemy dla wieczności i na wieczność. Zmartwychwstaniemy. Zmartwychwstać musimy. Niech nie będzie to zmartwychwstanie „na sąd i potępienie", ale zmartwychwstanie „na żywot wieczny".

*

Chrystus odkupił nas wszystkich. Swoją śmiercią i jednako we wszystkich czasach wzywa nas do pełnego uczestnictwa w Królestwie Bożym. Żąda od nas nieustannego doskonalenia się, wzywa do miłowania siebie nawzajem w Bogu i do miłowania Boga nade wszystko. Jest naszym zadaniem w coraz większym stopniu sposobić się do życia w Bogu. Jest naszą troską naczelną, aby Msza Święta odprawiała się tak dziś, jak za tysiąc lat.

*

*Czego potrzeba? By Święto Zmartwychwstania nie było tylko symbolem. By nie była symbolem jedynie nasza wiara. By doroczne rekolekcje nie stanowiły jedynie tradycyjnego „dania wielkopostnego". Do tego zobowiązuje nas Męka i Zmartwychwstanie Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Do tego zobowiązuje nas ten najwspanialszy fakt, o którym tak mówi Apostoł Narodów — „Bo naprzód podałem Wam, com też otrzymał, że Chrystus umarł za grzechy nasze według Pisma, i że był pogrzebany, i że zmartwychwstał trzeciego dnia według Pisma, że ukazał się Kefasowi, a potem jedenastu. Potem widziało Go jednocześnie więcej niż pięciuset braci, z których wielu żyje dotychczas, a niektórzy pomarli. Potem ukazał się Jakubowi, potem wszystkim Apostołom. A w końcu po wszystkich, niby poronionemu płodowi, ukazał się i mnie" *).*

*) I Kor. 15, 3—9.

*) I Kor. 15, 17—20.

Janina KOLENDO

U podstaw optymizmu i nadziei chrześcijańskiej

OSTATNIE dni Wielkiego Tygodnia kierują myśl naszą ku tamtym ludziom—apostołom, uczniom, kobietom wiernym Zbawicielowi, który na krzyżu zawisł, z krzyża był zdjęty, w grobie złożony — odszedł od nich. Pod pieczęciami, pod strażą rzymskich żołnierzy, kamieniem grobowym zawarto umęczone ciało Jezusa Chrystusa.

Ze wspomnieniem utraconego Boga związali oni swe tęsknoty. Teraz stanęła obok nich trwoga, bezradność, żal opuszczenia, odnajdowali w sobie dno samotności. Zdało im się, że ta śmierć pozbawiła ich Boga. Ten, któremu wszystko zawdzięczali, który odpowiedzieć umiał na każdą wątpliwość. Ten, który wybaczał, który cuda czynił, który chwałą okrywał — opuścił ich.

Groza zimnej, martwej nocy, nocy zniszczenia, nicości ostatecznej musiała przerażać, jak przerażać musi każdego, kto wierzy w Boga i Bogu.

Niedawna bliskość, pamięć dobrych oczu, pamięć miłosiernego gestu, błogosławiących dłoni, pamięć zmącona wstrząsem oglądania Jego męki — rodzi niemal rozpacz.

Jakże straszliwym cierpieniem musiał być ten stan oderwania od przeżywanej obecności Boga-Człowieka. Przywykli tak prosto do tej obecności; stała się treścią ich życia. Zawierzyli Mu, a On umarł. Musiało się wydawać — nie, że stracili kogoś, nawet najbliższego, ale—że stracili wszystko. Stan taki podobny być może tylko potępieniu, rzeczywistej utracie wszystkiego.

Pamięć obecności Boga-Człowieka tuż, obok nich, razem z nimi, co dziennej Jego troski o nich przytłoczył teraz kamień grobowy. Pamięć tych ludzi przyniosła im w te dni wspomnienie przeżywanego szczęścia, spokoju, promiennej ciszy w sercach, pewności, że On istnieje.

Ludzi sycących się obecnością Boga-Człowieka, ludzi z progu nieba na ziemi — rozrywał głód szczęścia utraconego.

Poznawali Go przecież — teraz wyrzucali sobie z pewnością, że zbyt mało. Okazywali Mu swą miłość, ale—nasunęło się wspomnienie mdłego snu w Getsemani, kiedy Mu byli potrzebni, nasunęło się wspomnienie Piotrowego „nie znam człowieka tego, o którym mówicie". Zostali sami, w lęku, wątpiący, może z bolesnym uczuciem zawodu, że nie po ich myśli objawia się Królestwo Boże. Wiara wystawiona na próbę, nadzieja wystawiona na próbę, miłość sprawdzana, jak w drodze życia każdego, kto chce do Boga dotrzeć.

*

Powiedział św. Paweł: „A jeśli Chrystus nie zmartwychwstał, daremnym jest tedy przepowiadanie nasze, daremną jest i wiara wasza" (1 Kor. 15, 14).

Resurrexit tertia die—wyznajemy w Credo, przenosząc nasze myśli ku apostołom, uczniom, kobietom wiernym Zbawicielowi w owe dni, kiedy zdobywali pewność, że istotnie jest z nimi znowu, pokonał swą własną śmierć, raz jeszcze w najwyższy sposób ukazał Boską moc.

Jeszcze nie dowierzali, jeszcze obawiali się cieszyć pewnością, zbyt były skurczone serca udręką poprzednich dni. Ale oto poznała Go i Maria z Magdali, i uczniowie dążący w kierunku Emmaus, ukazał się wreszcie jedenastu, rozpoznał Go wreszcie i Tomasz dotykając boku zranionego. I odtąd słyszymy słowa „Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli." (Jan 20, 29).

Dla nas, dla tych, co nie widzieli, zmartwychwstanie jest świętem nadziei. Nadzieja widzi w Bogu najwyższe dobro i daje pełne ufności przeświadczenie, że możemy otrzymać niezbędną pomoc.

Z obecnością Boga nie ma samotności. Najwyższa radość, najgłębsza troska, najbardziej gorzki upadek — dokonuje się wobec Boga. Nie istnieje żadna myśl, żaden czyn, który by mógł istnieć w jakimś wyobcowaniu od Boga. Trudność stąd płynie? Tak, ale i wielka, wspaniała potęga, skoro prześwietlenie intencją służenia Bogu — każdemu ludzkiemu działaniu, wszelkiej myśli drążącej prawdę, aby jej cząstkę odnaleźć— nadać może swoiste przyspieszenie w drodze człowieka do celu.

W obecności Boga nie ma dla człowieka utraconego czasu. Liczy się każdy dzień życia przeniknięty świadomością tej obecności, liczy bez względu na jego zewnętrzny obraz. Przybliża modlitwa, ale przybliża i praca, przybliża odpoczynek — o ile człowiek chce się kierować do Boga.

Skupienie wysiłku życia na kontemplacji Boga — w odcięciu od świata,—jest rzadkim tylko zjawiskiem. Powszechność innych dążeń— poprzez codzienne ścieżki świata— nie jest skazaniem na zapomnienie o Bogu. Nie było dwóch ludzi: Apostoł Paweł i tkacz Paweł; był człowiek jeden, który służył Bogu i na ateńskiej agorze i przy swym warsztacie. Jeśli człowiek zapomina o Bogu, błądzi w jego woli, która zatrzymał na celach niezgodnych z teoretycznie ujętym celem ostatecznym. To widzenie błędu we własnej woli i niezrzucanie odpowiedzialności na przyczyny zewnętrzne ma donosłe znaczenie. Można by powiedzieć — uprawomocnia nadzieję, że każdy dojść do Boga jest w stanie, że nie jest to zagwarantowane wyłącznie dla natur szczególnie refleksyjnych, lub dla jakichś określonych, wybranych form życia.

Jeżeli będziemy świadomi, że wszystko co zostało stworzone, samo w sobie jest dobre, a zły może

(Dokończenie na str. 2)

U podstaw optymizmu i nadziei

(Dokończenie ze str. 1)

być tylko użytek czyniony przez wole ludzką, oswobodzimy się z poczucia pogardy dla natury. Nie świat jest zły, nie natura stworzona i dzieła ludzkie odgradzają nas od Boga, ale w nas samych tkwi zdolność odwrócenia hierarchicznego porządku, kiedy wyniesieni pychą, siebie samych stawiamy u szczytu. Natura człowieka domaga się pełnego rozwoju wszystkich możliwości tkwiących w niej, aby tworzyć perspektywy coraz bardziej wszechstronnego wyrażania uwielbienia dla jej Stwórcy. W tworzeniu warunków dla pełniejszego rozwoju wszystkich ludzi wyraża się maksymalny, ale i realistyczny optymizm chrześcijański.

Przeciwieństwem takiego optymizmu jest zatrwożenie, jest lęk przed konfrontacją doświadczeń ludzkości, zdobywanych zarówno w ciągu wieków, jak i współcześnie, z podstawowymi założeniami światopoglądu katolickiego. Bóg, który jest pełnią Prawdy, nie może być zaskoczony" poszukiwaniami człowieka zdobywającego na drodze naturalnej jej elementy, ponieważ On właśnie udzielił umysłowi człowieka zdolności do jej tropienia. Zaufanie do władz poznawczych, przekonanie, że rozum ludzki jest w stanie prawdę od fałszu oddzielić, jest jednym z fundamentów światopoglądu katolickiego Niesie ono za sobą zobowiązanie, aby rozumem kierować się nie z lękiem jakoby to była najprostsza droga do sprzeniewierzenia się Bogu, ale z wdzięcznością i spokojem, że to dar Jego. Rozum właśnie jest zdolny w swych szczytowych osiągnięciach doprowadzić nas do poznawania bytu najwyższego, do odkrywania ładu i harmonii we wszechświecie; na nim dopiero bazuje wiara, której właściwe działanie zaczyna się tam, gdzie kończy się dziedzina przedmiotów adekwatnych dla rozumu ludzkiego. Zdobyty drogą rozumowego wysiłku podziw dla wszystkiego, co zostało stworzone, dla dzieła stworzeń — staje się okazją do przeżywania pełniejszego podziwu dla Stwórcy. W tym także tkwi ziarno nadziei, że mozolne odkrywanie i realizowanie tego, co jest prawdziwe, a co w rzeczywistości jest istotą postępu ludzkości, nie dokonywa się — używając przenośni — pod nieobecność Boga.

Dzieje się i tak, że Bóg zdaje się milczeć, że nie odpowiada na wezwanie, że nie jesteśmy w stanie przeżywać osobistego, rozjaśnionego uczuciem, stosunku do Niego. Na czym gruntować nadzieje, że i wtedy życie nie musi oddalać się od Niego?

Jezus Chrystus powiedział te słowa:

„Zaprawdę powiadam wam, cośkolwiek uczyniliście jednemu z tych moich braci najmniejszych, mnieście uczynili." (Mt. 25, 40).

Jakiego więcej zapewnienia potrzeba o najgłębszym sensie codziennych więzów z ludźmi, jeśli tylko wysiłkiem woli zostają one odniesione do Boga? Nie ma praktycznie działania, które by nie było w łączności z ludźmi. Stąd w całości działania może się wyrażać miłość do bliźnich, stąd całym stosunkiem, we wszystkich współzależnościach możemy Bogu służyć .

Przyjęcie tej zasady ma doniosłe dla życia wewnętrznego następstwa Nie ma sfery działania moralnie obojętnej z punktu widzenia człowieka działającego. Życie nie składa się wówczas z autonomicznych zajęć tak zwanych codziennych, które człowiek składa w ofierze światu i z chwil przeżywanego kontaktu z Bogiem. Zmiany w życiu wyrażają się wtedy w bezpośrednim lub pośrednim hierarchizowaniu zadań, a nie w ich izolacji, a nie na przeciwieństwach tych zadań. Tylko wtedy można myśleć o harmonijnej strukturze psychicznej katolików, jeśli założenia światopoglądowe nie będą ich obezwładniały wobec otaczającej rzeczywistości, ale staną się przyczyną najszerzej pojętej twórczości. Jeśli użyte tu zostało określenie „twórczość", to bynajmniej nie w znaczeniu udziału w naturalnym rozwoju ludzkości, na który składają się zarówno jej materialne potrzeby, jak i duchowe. Udział ten nie jest zarezerwowany dla jednostek, ale jest powszechnym sensem każdego życia ludzkiego Udział ten realizuje się przez pracę. Stąd wynika, że stosunek człowieka do jego pracy jest sprawdzianem stosunku do Boga. Jasne jest, że jeśli powołanie dysponuje jednostkę do bezpośredniej kontemplacji Boga to kontemplacja Boga jest zadaniem tej jednostki, jej pracą.

*

Optymizm mieszczący się w granicach natury nie zdobyłby ostatecznych wymiarów nadziei, gdyby nie zawrzeć pewności, że przyjmując wszelkie wysiłki, Bóg Łaską swą przenosi je do wartości nadprzyrodzonych. Jak od grzechu pierworodnego zmartwychwstajemy w Sakramencie Chrztu, tak w Sakramencie Pokuty zmartwychwstajemy z własnych win wolą powrotu do Boga. Nadzieja nasza wiąże zaufanie i potrzebę wykorzystywania wszystkich sił własnych zapewniając nas o istnieniu pomocy Boga samego.

Dopiero przeżywanie wewnętrznego napięcia pomiędzy tymi dwiema — choć tak niewspółmiernymi — siłami, może pozwolić na powiedzenie o sobie: *Christianus sum.*

Janina Kolendo

W DNIU ŚWIĘTA
ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO
WSZYSTKIM NASZYM CZYTELNIKOM
I PRZYJACIOŁOM NAJLEPSZE ŻYCZENIA

SKŁADA

REDAKCJA i ADMINISTRACJA

Fragment traktatu „Soliloquia" Z modlitw św. Augustyna

...BOŻE, Stwórco wszechświata, użycz mi przede wszystkim łaski dobrej modlitwy, uczyń mnie później godnym Twego miłosierdzia, a wreszcie daj mi zbawienie Twoje. Przez Ciebie, Boże, dąży do istnienia wszystko, co samo przez się nie istnieje, Ty, Boże, nie zezwalasz zginąć nawet temu, co się wzajemnie wyniszcza. Ty, Boże, z niczego świat ten stworzyłeś, a wszystkie oczy widzą w nim najpiękniejszy ze światów możliwych. Ty, Boże, zła sam nie sprawiasz, a dopuszczasz je tylko, aby nie stało się zło jeszcze gorsze. Małej garstce ludzi, co się pod skrzydła prawdy chronią, Ty, Boże, ukazujesz, że zło jest niczym. Przez Ciebie, Boże, wszechświat jest doskonały razem ze złem całym, jakie się w nim znajduje. W Twoich dziełach, Boże, nie ma żadnej dysharmonii, bo to co gorsze, odpowiada temu, co lepsze. Ciebie, Boże, świadomie czy nieświadomie miłuje wszystko, co zdolne jest do miłości. Boże, w Tobie mieści się wszystko, a jednak nie szpeci Cię brzydota żadnego stworzenia, żadna złość Ci nie szkodzi i błąd błędu nie powoduje. Boże, Ty chciałeś, aby jedynie ludzie czystego serca prawdę poznawali. Boże, Ojcze prawdy, Ojcze mądrości, Ojcze prawdziwego i najwznioślejszego życia, Ojcze szczęścia, Ojcze dobra i piękna, Ojcze światłości nadzmysłowej, Ojcze natchnienia, które ze snu nas budzi, Ojcze Syna, który nas poucza, jak mamy do Ciebie powrócić.

Ciebie wzywam, Boże, któryś jest Prawdą, bo w Tobie i dzięki Tobie i przez Ciebie prawdziwe jest wszystko, co jest prawdziwe. Tyś jest, Boże, Mądrością, w Tobie i dzięki Tobie i przez Ciebie mądre jest wszystko, co jest mądre. Tyś jest, Boże, prawdziwym i najwznioślejszym Życiem, w Tobie i dzięki Tobie i przez Ciebie żyje wszystko, co żyje prawdziwie i wzniośle. Tyś jest, Boże, Szczęściem, w Tobie i dzięki Tobie i przez Ciebie szczęśliwe jest wszystko, co jest szczęśliwe. Tyś jest, Boże, Dobrem i Pięknem, w Tobie i dzięki Tobie i przez Ciebie dobre i piękne jest wszystko, co jest dobre i piękne. Tyś jest, Boże, Światłością nadzmysłową, w Tobie i dzięki Tobie i przez Ciebie staje się jasne dla rozumu wszystko, co jest dla niego jasne. Twoim, Boże, królestwem jest cały wszechświat, którego zmysły nasze nie mogą ogarnąć, a prawa królestw tej ziemi są tylko odbiciem tych praw, którymi Ty rządzisz swoim królestwem.

... Boże, do Ciebie wzywa nas wiara, podnosi nadzieja, z Tobą łączy nas miłość. Przez Ciebie, Boże, zwyciężamy nieprzyjaciela, Ciebie więc błagam. Od Ciebie, Boże, otrzymaliśmy łaskę chroniącą nas od zguby zupełnej. Ty nas, Boże, pouczasz, byśmy czuwali. Boże, dzięki Tobie umiemy dobro od zła oddzielić. Dzięki Tobie, Boże, unikamy zła, a idziemy za dobrem. Dzięki Tobie nie załamują nas przeciwności. Ty, Boże, sprawiasz, że dobrze służymy i dobrze panujemy. Ty nas, Boże, pouczasz, że nie nasze jest to, co kiedyś za nasze uważaliśmy, a nasze to, cośmy kiedyś sądzili nie naszym. Ty, Boże, sprawiasz, że nie pociągają nas ponęty i powaby zła. Dzięki Tobie, Boże, nie umniejszają nas rzeczy małe, a to, co w nas jest lepsze, nie podlega temu, co gorsze. Przez Ciebie, o Boże, zwycięstwo śmierć pochłonęło. Ty nas, Boże, nawracasz, Ty nas obnażasz z tego, co nie jest, a w to, co jest, oblekasz. Ty, Boże, sprawiasz, że możemy być wysłuchani, Ty nas umacniasz, Ty nam wszelką prawdę ukazujesz. Ty, Boże, wszystko dobre nam mówisz i nie pozbawiasz nas rozumu ani dozwalasz, by ktoś inny to czynił. Ty nas, Boże, z powrotem przywołujesz na drogę. Ty doprowadzasz do bramy, Ty sprawiasz, że pukającym otwierają. Ty, Boże, dajesz nam Chleb Żywota, przez Ciebie pragniemy napoju, którego sposzlowawszy nigdy już pragnąć nie będziemy. Ty, Boże, sądzisz świat z grzechu, sprawiedliwości i sądu. Dzięki Tobie, o Boże, ludzie małej wiary zachwiać nas nie mogą, dzięki Tobie potępiamy błędne mniemanie, jakoby dusze żadnej zasługi nie miały u Ciebie. Dzięki Tobie, Boże, nie służymy żywiołom słabym i nędznym. Ty nas, Boże, oczyszczasz i sposobisz do boskiej nagrody. Boże, bądź mi łaskawy!

O Boże, któryś jedyny jest wszystkim, cokolwiek powiedziałem, pośpiesz mi na pomoc! Tyś jest jedyną wieczną prawdziwą substancją, gdzie nie ma żadnej niezgodności, żadnej niejasności, ani zmiany, ani braku, ani śmierci. Tu najwznioślejsza zgodność, najwznioślejsza jasność, najwznioślejsza stałość, najwznioślejsza pełnia i życie najwznioślejsze. Niczego tu nie brak, nic nie jest w nadmiarze. Tu Ten, kto rodzi, i Ten, kogo rodzi, Jednym jest. Tobie Boże, służy wszystko, co służy, Ciebie słucha każda dusza dobra. Według praw Twoich wirują bieguny, gwiazdy swoje drogi przemierzają, słońce dnie rozpala, a księżyc łagodzi noce i tak poprzez dnie — kolejnością światła i mroku, poprzez miesiące — przyrostem i ubytkiem księżyca, poprzez lata — następstwem pór roku, poprzez okresy — zupełnością obiegu słońca, poprzez wielkie cykle — powrotem gwiazd na swoje miejsca prastare — cały wszechświat w pochodzie i krążeniu czasów zachowuje stałość niezmienną, o ile tylko zdolna jest do niej pozbawiona czucia materia. To Ty, o Boże, przez niezłomne na wieczność prawa Twoje usuwasz niepokój ciągłego ruchu rzeczy zmiennych, a wędzidłem toczących się wieków przywracasz mu podobieństwo stałości. Twoje prawa obdarzyły duszę wolną wolą, a stosownie do zasad nienaruszalnych, których nic zmienić nie może, rozdzieliły nagrody za dobre czyny, a za złe —kary. Z Ciebie, o Boże, spływają zawsze na nas wszystkie dobra, Ty odwracasz od nas zło wszelakie. O Boże, nic ponad Tobą i nic poza Tobą, i nic nie istnieje bez Ciebie. Tobie, Boże podlega wszystko, w Tobie jest wszystko, z Tobą jest wszystko. Uczyniłeś człowieka na obraz i podobieństwo swoje, a prawdę tę poznaje ten, kto poznał samego siebie. Wysłuchaj, wysłuchaj, wysłuchaj mnie, Boże mój, Panie mój, Królu mój, Ojcze mój, Stwórco mój, Nadziejo moja, Dobro moje, Chwało moja, Mieszkanie moje, Ojczyzno moja, Zbawienie moje, Światłości moja, Życie moje. Wysłuchaj, wysłuchaj, wysłuchaj mnie na swój sposób tak dobrze znany tylko nielicznym.

Już Ciebie tylko kocham, za Tobą tylko idę, Ciebie tylko szukam, Tobie tylko służyć jestem gotowy, bo Tyś jedyny jest prawym władcą — do Ciebie pragnę należeć. Rozkaż, proszę, i poleć mi, cokolwiek zechcesz, ale ulecz i otwórz uszy moje, abym głos Twój posłyszał. Ulecz i otwórz oczy moje, abym skinienie Twoje widział.

... Powiedz mi, dokąd mam się zwrócić, aby ujrzeć Ciebie, a ufam, że wszystko, co rozkażesz, uczynię. Przyjmij życzliwie, proszę, Panie Ojcze najłaskawszy, sługę, który ongiś uciekał od Ciebie.

... Ty bądź doradcą, Ty pokaż mi ścieżkę, Tu dodaj mocy na drogę. Jeżeli przez wiarę znajduje Cię ten, kto się do Ciebie ucieka, daj wiarę; jeśli przez cnotę, daj cnotę; jeśli przez wiedzę, daj wiedzę. Pomnóż we mnie wiarę, pomnóż nadzieję, pomnóż miłość. O jakże godna podziwu i szczególna jest dobroć Twoja.

Tęsknię do Ciebie i Ciebie też proszę o lekarstwo na moją tęsknotę. Człowiek opuszczony przez Ciebie musi zginąć, ale Ty nikogo nie opuszczasz, bo jesteś Dobrem Najwyższym i nikt Ciebie na darmo nie szukał, jeżeli szukał dobrze. A szuka Ciebie dobrze każdy człowiek, któremu Ty łaski szukania użyczysz. Spraw, Ojcze, bym Cię szukał, uwolnij mnie od błędu, a skoro Cię szukam, niech nic innego nie zasłania mi Ciebie. Jeśli niczego poza Tobą nie pragnę, proszę, Ojcze, dozwól, abym znalazł już Ciebie. Jeżeli zaś jest we mnie jeszcze jakieś zbyteczne pragnienie, Ty sam mnie oczyść, uczyń mnie zdolnym ujrzeć Ciebie. Tobie, Ojcze najmędrszy i najlepszy, powierzam całą troskę o dobro mego śmiertelnego ciała, dopóki jeszcze jest ono w jakiś sposób potrzebne czy to mnie samemu, czy to bliskim moim — i prosić będę dla niego o to tylko, o co sam w czasie stosownym prosić mnie zachęcisz. O jedno błagam Twoją dobroć najwyższą: nawróć mnie do siebie zupełnie, nie dozwól, bym się sprzeciwiał Łasce prowadzącej mnie do Ciebie, rozkaż mi — dopóki jeszcze w tym ciele mieszkam i je dźwigam — rozkaż, abym był czysty, wielkoduszny, sprawiedliwy, roztropny, a bym był doskonałym miłośnikiem i uczniem Twojej mądrości, godnym zamieszkania w błogosławionym królestwie Twoim, a wreszcie bym się stał godnym jego mieszkańcem. Amen, amen.

tłum. A. Świderkówna

ŚLADEM STÓP JEZUSA W JEROZOLIMIE

Nabożeństwo Drogi Krzyżowej, to rozpamiętywanie tej najboleśniejszej, ostatnicj w ziemskim życiu wędrówki, którą Chrystus Pan odbył obciążony Krzyżem od trybunału Piłata aż na szczyt Golgoty. Droga, której każdy krok naznaczony jest niezmierzoną boleścią i niezgłębioną miłością. Toteż za Chrystusem szli tą drogą pierwsi chrześcijanie, rozgrzani świeżymi wspomnieniami męki Pana, oblewając łzami pokuty, współczucia i miłości miejsca pamiątkowe tylu strasznych cierpień.

Papieże, chcąc zachęcić wiernych do pielgrzymowania do Ziemi Świętej, ubogacili to nabożeństwo licznymi odpustami, a gdy wskutek opanowania przez mahometan Ziemi Świętej dostęp do Jerozolimy stał się bardzo trudny, zezwolili, aby odtwarzano Drogę Krzyżową po kościołach w krajach katolickich i przywiązali odpusty jerozolimskie również do kanonicznie gdziekolwiek bądź erygowanych stacji.

Dziewięć stacji Drogi Krzyżowej zapisała Ewangelia, pięć — mianowicie: stacja trzecia, czwarta, szósta, siódma i dziewiąta — opartych jest na bardzo starej tradycji.

Via Dolorosa, czyli Droga Krzyżowa, to 14 stacji Męki Pańskiej. Święty Grób jest 14-ą, a zatem ostatnią stacją — pierwsza rozpoczyna się przy Praetorium, miejscu sądu, gdzie Piłat skazał Jezusa Chrystusa na śmierć. Stacje 10 do 13 są to kaplice na Golgocie, gdzie Chrystus zakończył życie w strasznych męczarniach na krzyżu.

STACJA I-A: SKAZANIE

Ratusz (Praetorium), w którym odbył się proces Jezusa Chrystusa, znajdował się w twierdzy zamkowej. Gmach ten polecił wznieść Herod w części północno-zachodniej dziedzińca Świątyni Jerozolimskiej. Od strony miasta przed twierdzą był plac brukowany wielkimi kamieniami.

Na tym to dziedzińcu, natłoczonym pospólstwem prowadzonym przez przedniejszych kapłanów, Faryzeuszów i uczonych w piśmie, odbyła się wstrząsająca rozprawa pod przewodnictwem Piłata. W wyniku tej rozprawy zapadł wyrok śmierci.

STACJA II-A: OBARCZENIE JEZUSA KRZYŻEM

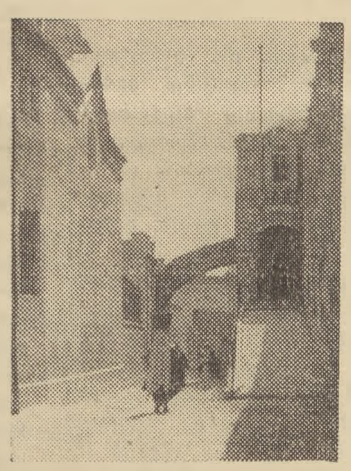

Od chwili gdy Piłat wypowiedział słowa zwyczajowe: „Idź, siepaczu, przygotuj krzyż" żołnierze ujęli Jezusa prowadząc do miejsca, gdzie był krzyż, było bowiem przyjęte, że skazany musiał nieść sam narzędzie swej męki.

Droga Krzyżowa przechodzi dalej pod bramą „Ecce Homo". Część łuku tej bramy jest włączona do Bazyliki „Ecce Homo", w której przedłuża się on w drugi, podobny lecz mniejszy. Bazylika ta stanowi dziś część klasztoru Pań Syońskich.

STACJA III-A: PIERWSZY UPADEK JEZUSA

Droga schodzi ku środkowi miasta. Na placu, skąd się rozchodzą ulice przed schroniskiem Św. Rodziny znajduje się słup zdruzgotany, który oznacza miejsce, gdzie Zbawiciel upadł po raz pierwszy pod krzyżem.

STACJA IV-A: JEZUS SPOTYKA SWĄ MATKĘ

Kościół Łkania — świątynia utrzymywana obecnie przez armeńskich katolików. Miejsce to jest czczone na pamiątkę wzruszającego spotkania Matki z Synem. W podziemiu tej świątyni znaleziono na poziomie dawnej ulicy mozaikę starożytną, otoczoną pięknym szlakiem a przedstawiającą dwa sandały obok siebie.

STACJA V-A: CYRENEJCZYK POMAGA DŹWIGAĆ KRZYŻ

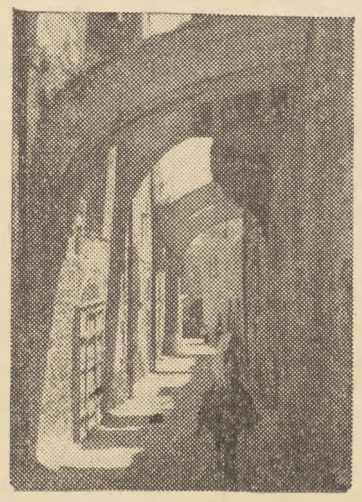

Droga przestaje tutaj się zniżać i znowu podnosi się ku górze. Jezus sprawia wrażenie co raz bardziej bezsilnego i żołnierze zaczynają się denerwować, czy krzyż nie jest zbyt ciężki i czy skazaniec znów nie padnie, by nie wstać więcej. Sami jednak nie spieszą, by Mu przyjść z pomocą. Nadszedł właśnie jakiś człowiek barczysty, Szymon Cyrenejczyk, którego setnik zatrzymał i zmusił, aby pomógł dźwigać krzyż.

Mała kapliczka Franciszkańska na rogu jednej z rozchodzących się ulic upamiętnia to zdarzenie.

STACJA VI-A: WERONIKA OCIERA TWARZ

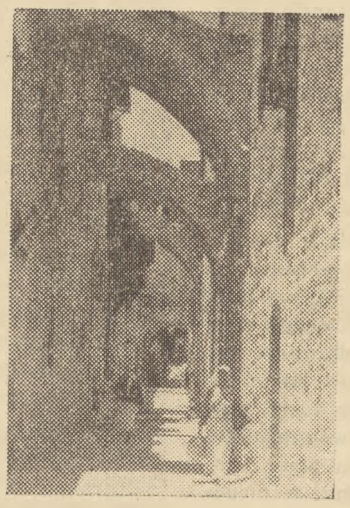

Droga wznosi się coraz bardziej stromo. Orszak posuwał się coraz wolniej wskutek ciężaru krzyża i zatłoczenia wąskich ulic. Gromadki ciekawych wyglądały oknami i drzwiami, przechodnie się zatrzymywali, obojętni, szydzili i żartowali. Co chwila powstawały w tłumie zbyt stłoczonym popychania i potrącania wzajemne. W jednej z takich chwil zapewne drzwi jakieś się rozwarły i litościwa jakaś niewiasta otarła swą chustą oblicze Jezusowe, skrwawione, oplute, pokryte kurzem i potem nadludzkiego wysiłku.

Na tej uliczce znajduje się kaplica obsługiwana przez Greków katolickiego obrządku, jakoby na miejscu, gdzie stał dom tej pobożnej i szlachetnej niewiasty.

STACJA VII-A: DRUGI UPADEK JEZUSA

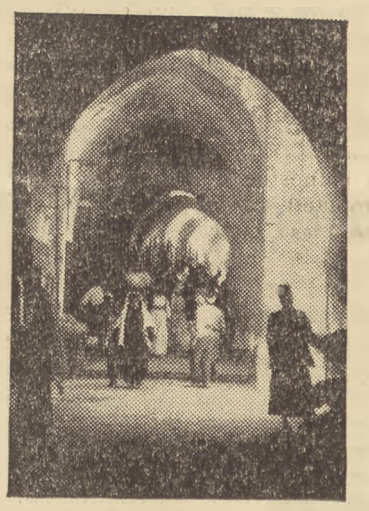

Trochę powyżej przychodzi się do nowego rozstaju dróg. Tutaj kończyły się mury otaczające Jerozolimę. Mała, kamienna brama wychodziła na wolną przestrzeń. Orszak trochę większy nie mógł się tędy łatwo przedostać. Długość krzyżów tym bardziej utrudniała przejście. Zgodnie z podaniami, tutaj miał nastąpić drugi upadek Jezusa.

Kaplica tej stacji mieści w sobie wspaniałą kolumnę z czerwonego kamienia, wystawioną na skale, przez którą przechodzi głębokie czworokątne wydrążenie. Widać także dobrze zachowaną ścianę.

STACJA VIII-A: CÓRY JEROZOLIMSKIE

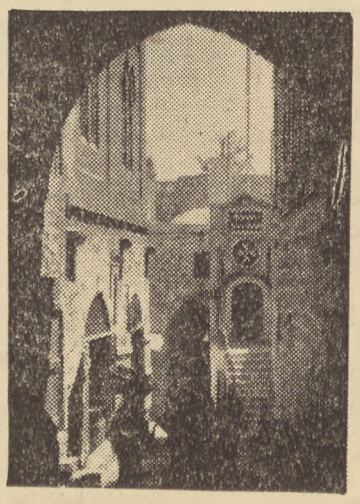

Po przejściu ulicy rynkowej dąży się kilkadziesiąt metrów wzdłuż Schroniska św. Jana i dochodzi do krzyża wmurowanego w ścianie klasztoru greckiego św. Karalambosa. Upamiętnia on spotkanie Jezusa z gromadką niewiast, nie mogących się powstrzymać od płaczu, gdy widziały Go tak straszliwie umęczonego i wiedzionego na śmierć.

STACJA IX-A: TRZECI UPADEK JEZUSA

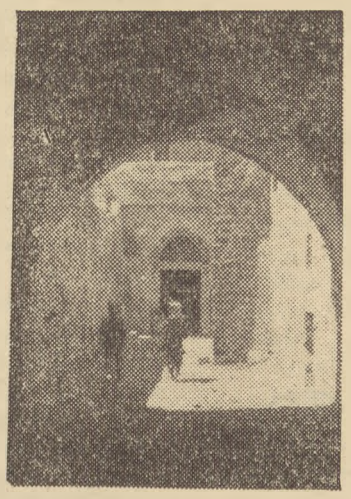

Droga idzie dalej do pagórka zaokrąglonego w kształcie czaszki, gdzie miało się odbyć stracenie skazanych. Stacja ta oddalona jest od stacji VIII o około sto kroków i prowadzi przed klasztor kopty jski, gdzie znajduje się kolumna tej stacji.

STACJA X-A: ODARCIE Z SZAT

Niskie drzwi, wychodzące na plac przed Bazyliką Grobu Chrystusa, prowadzą na Kalwarię, gdzie znajduje się 10-a stacja. Odarcie z szat było przygotowaniem do Ukrzyżowania.

STACJA XI-A: UKRZYŻOWANIE

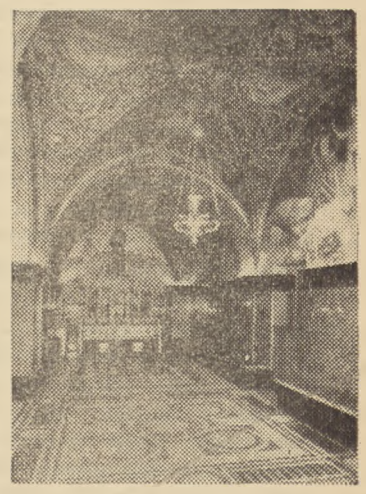

Miejsce, gdzie Jezus został przybity do krzyża. Mozajkowy obraz na ścianie i ołtarz bronzowy, posrebrzany, upamiętnia ją widok tej straszliwej męki.

STACJA XII-A: ŚMIERĆ ZBAWICIELA

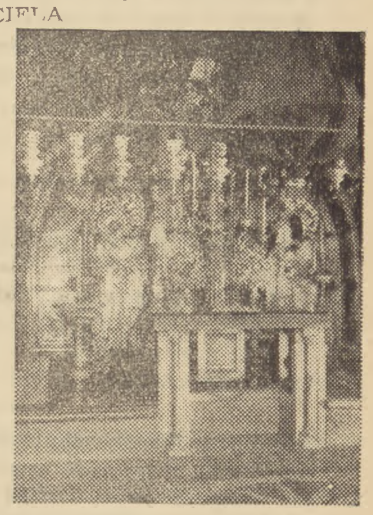

Na wzniesieniu stoi ołtarz grecki. Między widocznymi kolumienkami, podtrzymującymi stół ołtarza, znajduje się krążek srebrny, otaczający otwór, gdzie był zatknięty Krzyż Zbawiciela. Na prawo od tego ołtarza znajduje się płyta metalowa, wskazująca szczelinę powstałą wskutek trzęsienia ziemi w chwili śmierci Jezusa, kiedy to zaćmiło się słońce, a zasłona świątyni w pół się rozdarła — co było stwierdzeniem, że skończył się Stary, a rozpoczął Nowy Testament.

STACJA XIII-A: JEZUS Z KRZYŻA ZDJĘTY

Ołtarz Matki Bożej Bolesnej, który robi bardzo wielkie wrażenie.

STACJA XIV-A: GRÓB ZBAWICIELA

Na środku obszernej, okrągłej, wspaniałej świątyni wznosi się Grobowiec Zbawiciela. Najpierw wchodzi się do niewielkiego przedsionka, zwanego kaplicą Anioła, potem przez otwór łukowaty o wysokości zaledwie 1,33 metra wchodzi się do samego Grobowca, mającego 2.02 metra długości i 1.93 metra szerokości. Najwyżej trzy lub cztery osoby mogą się pomieścić w tej przestrzeni jednocześnie. Na prawo znajduje się sarkofag, na którym Najświętsze Ciało Boskiego Męczennika czekało od piątkowego wieczora do niedzielnego poranka na triumf Zmartwychwstania. Jest on częścią skałowa pozostałej skały, lecz zarówno wierzch, jak i cały grób pokryte są płytami z białego marmuru. Ścianę wzdłuż Grobu zdobią trzy obrazy Zmartwychwstania.

Zdjęcia ze Świętego Miasta oraz tekst:
Wacław Wyszomirski
(wszelkie prawa autorskie zastrzeżone)

Władysław SEŃKO

Z PROBLEMÓW CHRZEŚCIJAŃSKIEJ KONCEPCJI CZŁOWIEKA

DUSZA I CIAŁO

„Czymże jest człowiek, że nań pamiętasz, albo syn człowieka, że go nawiedzasz?. Uczyniłeś go tylko nieco mniejszym od aniołów, chwałą i czcią ukoronowałeś go. Ustanowiłeś go nad dziełami rąk twoich i pod dałeś wszystko pod nogi jego“.

(Ps. 8, 5—8)

PROBLEM człowieka, jego natury, celu i pochodzenia budził zawsze najżywotniejszy oddźwięk w umysłach. Nie ma epoki ani okresu, gdzie nie stawiano by sobie tego pytania Psalmisty: „Czymże jest człowiek“. Ta rozumna istota żyjąca na świecie wyrasta tak ponad swoje otoczenie, że zdawałoby się, iż jej związki ze światem zwierzęcym są czysto przypadkowe i nieistotne, skądinąd jednakże jej potrzeby i doznania są tak powiązane i zależne od czynności cielesnych i czysto zwierzęcych, że można w nich zgubić to, co stanowi o oryginalności człowieka w przyrodzie.

Ta niepokojąca „zagadka człowieka“ powracała bezustannie w dziejach myśli. Brzmi ona zarówno głęboko w tym zdaniu Heraklita sprzed dwóch i pół tysiąca lat: *„Nie znajdziesz kresów duszy, choćbyś przez całą drogę życia szedł nieprzerwanie, tak głęboki ma sens“*, jak i w niezliczonych myślach Augustyna, podziwiających tajemnicę połączenia duszy z ciałem, czy w owych znamiennych rozterkach Pascala, dotyczących natury człowieka.

Ale prawda o człowieku nie jest tylko wiedzą teoretyczną, nie budzi w nas wyłącznie zainteresowania poznawczego, przedstawia wartość jak najbardziej praktyczną, stanowi o naszym celu i przeznaczeniu. Pytanie „Czym jesteśmy?“ — to nie tylko problem teoretyczny, to przede wszystkim odkrywanie sensu życia i prawdy o naszym ludzkim powołaniu.

Teoria dotycząca natury człowieka ma w swoich konsekwencjach przede wszystkim aspekt etyczny i stąd płynie jej waga i doniosłość. Dopiero właściwe ujęcie natury człowieka umożliwi nam zrozumienie własnych potrzeb i potrzeb naszego otoczenia i dopiero wówczas ujrzymy we właściwym świetle ewangeliczne przykazanie miłości bliźniego. Od poznania siebie w najgłębszym tego słowa rozumieniu zależy tedy nasz stosunek do świata i ludzi — nasz światopogląd. *Gnothi seauton* — poznaj samego siebie. Ten nakaz etyczny na świątyni w Delfach mobilizował nie tylko żyjących w owych czasach Greków, ale i w nas dzisiaj budzi najwyższe uczucia i refleksje.

DELFICKIE wezwanie do poznawania siebie realizował w starożytności w sposób pełny i konsekwentny Sokrates. Wstępując w jego ślady Platon odkrył po raz pierwszy na płaszczyźnie intelektualnej świat ducha i sam został tym odkryciem do głębi wstrząśnięty. Jeszcze pod koniec życia pisze, broniąc się przed zarzutami, że niedostatecznie uzasadnił istnienie owego świata idei, że jest to rzeczywistość narzucająca się jak gdyby naszemu poznaniu, której słowa nie są w stanie w pełni oddać, ponieważ same należą do tego, co ulega zmianom. Świat idei jest wieczny i niezmienny i tylko on zasługuje na miano rzeczywistości. To, co spostrzegamy zmysłami, jest tylko odbiciem prawdziwej realności, tak jak cień jest tylko znakiem istnienia rzeczywistego przedmiotu. Człowiek, który zdolny jest wznieść się do poznania świata idei, sam należy do tego wyższego duchowego porządku, jego istota i natura jest duchowa. Ani ciało, które ma tylko byt niestały i zmienny, ani ciało w połączeniu z duszą nie stanowią o naturze człowieka. Człowiek to sama dusza. *„Czyż chcesz jeszcze* — mówi Sokrates do Alkibiadesa — *dokładniejszego dowodu na to, że człowiek jest duszą?“* (Alkibiades I 129D). Człowiek — dusza, istniejący zanim jeszcze połączył się z ciałem, wspomina świat idei, który jest dla niego właściwą ojczyzną i dokąd wraca oderwawszy się od ciała. Dusza uczestniczy w życiu idei, jest tym bytem, który poznaje owe wieczne, niezmienne i niecielesne istoty, będąc tym samym bytem wiecznym i niecielesnym.

Po raz pierwszy w historii człowiek został „uduchowiony“, stał się duchem, niższym wprawdzie w hierarchii bytów od idei — stąd możliwość błądzenia, oderwania się od idei, zanurzenia w materii — ale niezależnym od ciała. Ciało nie zostaje uwzględnione w tej definicji człowieka, ponieważ właściwością definicji jest to, że obejmuje ona tylko cechy istotne dla danego gatunku, a połączenie duszy z ciałem może być według Platona tylko czasowe i przypadkowe.

Platońska koncepcja człowieka wywarła przemożny wpływ na całą starożytność, a szczególnie silnie doszła do głosu w synkretystycznej epoce hellenistycznej u schyłku starożytności. Zetknięcie się myśli greckiej ze światem wschodnim wzmogło jeszcze rodzime tradycje misteriów i rozszerzyło wpływy orfickie i pitagorejskie. Według znanego określenia orfickiego ciało *(soma)* jest dla duszy grobem *(sema)*, z którego wyzwala się ona przechodząc kolejne etapy wcielania, dopóki nie oczyści się zupełnie, tzn. nie odpokutuje za swoje winy. Motyw wyzwalania się człowieka z więzów cielesnych jest w starożytności częsty, niechęć do ciała jako elementu składowego człowieka, zwłaszcza w początkach naszej ery, staje się coraz głębsza. Pewne światło na atmosferę intelektualną tego okresu rzucić może wydarzenie zapisane w Dziejach Apostolskich, związane z pobytem św. Pawła w Atenach. Oto kiedy Apostoł w swej słynnej mowie na Areopagu wspomina zmartwychwstanie Chrystusa narażą się na szyderstwa ze strony słuchaczy: *„A usłyszawszy o zmartwychwstaniu jedni się naśmiewali, a drudzy mówili: Innym razem o tym słuchać cię będziemy“* (17, 32). Zmartwychwstanie umarłych uważane było nie tylko przez epikurejczyków i stoików za chimerę, było ponadto w środowisku ateńskim, przesiąkniętym żywymi tradycjami platońskimi, obelgą wymierzoną przeciw godności człowieka.

Ta spirytualistyczna atmosfera jest jak gdyby zapowiedzią epoki recepcji platońskiej i panowania kierunków bazujących na neoplatonizmie, epoki, kiedy materia i ciało staną się przysłowiowymi kozłami ofiarnymi, które ponosić będą winę za wszystko to, co się dzieje złego na świecie. W tym okresie ciało dzielić będzie od duszy nie tylko przepaść, ale pojęte ono zostanie jako źródło wszelkich nieszczęść i upadków człowieka, tak jak materia będzie uchodzić za źródło zła we wszechświecie.

Plotyn — pisał biograf jego i uczeń Porfiriusz — czuł jakby wstyd, że jest w ciele. Z powodu takiego nastawienia nie chciał opowiadać ani o swym pochodzeniu, ani o rodzicach, ani o ojczyźnie. O malarzu lub rzeźbiarzu nie chciał w ogóle słyszeć do tego stopnia, iż nawet powiedział Ameliosowi, kiedy ten go prosił, aże by pozwolił zrobić swój portret: *„Oczywiście, nie dość znosić to widmo, jakim nas przyoblekła natura, lecz powinienem jeszcze sam z własnej woli przedstawić widmo widma, znacznie trwalsze, niby coś naprawdę godnego widzenia“*. (Tł. A.Krokiewicz).

Materia jest według Plotyna — duchowego przywódcy tej epoki — kresem emanacji bóstwa i stoi na granicy niebytu. Człowiek ma jednak naturę wyższą. Zamknięty w glinianej skorupie wyzwala się z niej drogą ekstazy i upodabnia się do najwyższego bytu, z którym kiedyś ostatecznie się połączy.

Neoplatonizm jest tym szczytowym zbliżeniem filozofii do spirytualizmu i dualizmu, jaki znamy w historii. Największe i najgroźniejsze herezje w pierwotnym chrześcijaństwie tkwiły swymi korzeniami w tej doktrynie. Poddawały się jej niekiedy potężne umysły spośród myślicieli chrześcijańskich, żeby wymienić tylko Orygenesa i Jana Szkota Eriugenę (IX w).

Trzeba dobrze wniknąć w duchowy klimat neoplatonizmu i wszystkich wiążących się z nim kierunków, żeby zrozumieć jak ciężką miał Kościół przeprawę z tymi, którzy chcieli bronić człowieka przed ciałem i jak zdecydowanie musiał występować przeciw „uduchowieniu“ człowieka powołując się na autorytet Pisma Świętego.

Nowy Testament nie pozostawia zresztą pod tym względem żadnej wątpliwości. Wcielenie i zmartwychwstanie Chrystusa przypieczętowało jak gdyby ponownie godność ciała i godność człowieka, który dopiero z ciałem zasługuje na swoją nazwę. Św. Paweł w pierwszym liście do Koryntian przypomina nam to w słowach: *„Nie wiecie, żeście świątynią Bożą i że Duch Boży mieszka w Was. A jeśli kto świątynię Bożą narusza, zatraci go Bóg. Świątynia bowiem Boża święta jest, a tą świątynią jesteście wy“* (3, 16 — 17). W innych zaś miejscach jeszcze bardziej wymownie: *„Czyż nie wiecie, że członki wasze są świątynią Ducha Świętego?“* (6, 19) i *„Czyż nie wiecie, że ciała wasze są członkami Chrystusa?“* (6, 15) *„Chwalcie tedy i noście Boga w ciele waszym“* (6,20).

Broniąc godności ciała ludzkiego przypomni Kościół słowa Chrystusa: *„Nie troszczcie się o życie wasze, co byście jedli, ani o ciała wasze, w co byście je przyoblec mieli. Czyż życie nie jest ważniejsze niż pokarm, a ciało niż odzienie?.* (Mt 6, 25) oraz znamienne powiedzenie św. Pawła będące jak gdyby uprzedzającym wyrokiem na poglądy Plotyna: *„Nikt bowiem jeszcze nie miał w nienawiści ciała swego, ale je żywi i pielęgnuje, jak i Chrystus Kościół“* (Efez. 5,29).

KIEDY myśl chrześcijańska zetknęła się po raz pierwszy z filozofią pogańską, żaden system nie wydawał się jej bliższy i bardziej nadający się do akceptacji nad naukę Platona. Poprzez św. Justyna platonizm wypłynął szerokim strumieniem do Średniowiecza i stanowić będzie przez cały jego okres jeden z najżywotniejszych w nim nurtów. Ale też od pierwszego momentu ortodoksyjna myśl chrześcijańska rozpoczęła proces chrzczenia platonizmu, zwłaszcza zaś na odcinku koncepcji człowieka. Wszyscy myśliciele, którzy wejdą w przymierze z Platonem, będą się gubić w trudnościach przy tłumaczeniu związku duszy z ciałem (św. Augustyn wyzna jeszcze przy końcu życia, że natura połączenia duszy z ciałem w człowieku jest dla niego niepojęta), ale zdecydowanie podejmą obronę ciała włączając je do pojęcia człowieka. Człowiek nie jest tylko ciałem ani też samą duszą, człowiek to dopiero dusza i ciało razem wzięte. Ci, którzy ulegną pokusie platonizmu, jak Orygenes, spotkają się ze stanowczym oporem i krytyką. *„Gdzie zapowiedź zmartwychwstania?* — woła do Jana Jerozolimskiego, wyznawcy Orygenesa, biskup Epifaniusz z Cypru. — *Gdzie nauka apostolska, która dotychczas trwa w Kościołach Chrystusowych? Gdzie owo błogosławieństwo skierowane do Adama: rośnijcie i mnóżcie się i napełniajcie ziemię? Nie będzie to już błogosławieństwo, ale przekleństwo według Orygenesa, który dusze uważa za aniołów i każe im z wyniosłego szczytu godności zstępować na dół, jak gdyby Bóg nie mógł za pomocą błogosławieństwa dawać dusz rodzajowi ludzkiemu, tylko przez grzech aniołów i jak gdyby tyle było w niebie upadków, ile narodzin na ziemi“* (tł. ks. J. Czuj). Bóg stwarza człowieka z ciałem i duszą. Grzech pierworodny zachwiał wprawdzie harmonię naszej natury, ale samej natury człowieka nie zniszczył. Adam i Ewa przebywali w raju, który był tu na ziemi, byli od razu ludźmi, a nie stali się nimi — jak twierdzi Orygenes — dopiero po grzechu. *„Piłem* — pisze wspomniany biskup Epifaniusz — *wodę wprost z wielkiej rzeki Eufratu, wodę, której dotykałem ręką i piłem ustami, a nie żadną wodę duchową. Gdzie zaś są rzeki i wody, które się widzi i pije, tam oczywiście i figa i inne drzewa, o których mówi Bóg: „z każdego drzewa rajskiego jedzcie“, są też tego rodzaju, co rzeki i wody i konieczną jest rzeczą, by Adam od początku utworzony był wraz z ciałem jak i Ewa; nie były to więc cienie, które dopiero po upadku, jak chce Orygenes, z powodu grzechu otrzymały ciało“*. Zwolennicy Orygenesa bronili czętości człowieka z pozycji czystego ducha i zarzucali ortodoksyjnym chrześcijanom materializm. *„Nazywają nas peluzjatami* (gr. *pelos* — błoto) — pisze św. Hieronim w jednym ze swoich listów piętnując obłudę i niekonsekwencję przeciwników — *istotami nikczemnymi, głupimi i zmysłowymi dlatego, że nie przyjmujemy tego, co jest z ducha. Ja nie gardzę ciałem* — mówi w dalszym ciągu św. Hieronim — *w ciele bowiem Chrystus urodził się i zmartwychwstał. nie lekceważę owej gliny, dziwię się jednak, dlaczego ci, którzy poniżają ciało, żyją zmysłowo i tego nieprzyjaciela swego pielęgnują i odżywiają wykwintnie. Chyba, że chcą wypełniać w ten sposób słowa Pisma Świętego: Miłujcie nieprzyjacioły wasze“* (Epist. 84,9)

Ciało jest częścią składową człowieka. W obronie tej tezy powstana wielcy Ojcowie Kościoła. Ich głębokie rozumienie Pisma św. i tradycji chrześcijańskiej pozwoli im widzieć w ciele nie tylko *„peiorem partem hominis“*, ale element harmonii i ładu w człowieku. Nie przestaną jednakże podnosić się stale głosy upatrujące nieszczęście człowieka w fakcie, że bytuje on w ciele. Nawet ci, którzy godzą się na to, że człowiek jest złożeniem dwóch realnych pierwiastków, nie mogą wyjść z podziwu, jak to się dzieje, że dusza nasza może się łączyć z tak *„plugawym naczyniem“* — jak się wyrażał Wilhelm z Conches — jakim jest ciało.

Przez cały okres Średniowiecza występować będą te dwie ścierające się tendencje, jedna powołująca się

(Dokończenie na str. 11)

Józef SZCZAWIŃSKI

Na Mszę św. Wielkanocną

INTROIT

Dałeś nam Zmartwychwstanie
światłością wypełniłeś usta.
Od wiatru lżejszym kamień
i skała — przestrzenią pustą.

Pod Twoim jesteśmy wzrokiem
bardziej niż głos przejrzysty,
znasz nasze dnie i noce,
jak książka są nasze myśli.

KOLEKTA

Wieczność jest zwykłą sprawą,
śmierć niewysokim progiem;
otwórz nam swą łaskawość
w dzień jaśniejszy niż kropla ognia.

LEKCJA

Postaw nas u czoła pokoleń
na pograniczu wieków,
spokój daj naszej woli
a niecierpliwość powiekom.

GRADUAŁ

W dzień, który nam obwieścił
żeś miłosierdziem i Paschą —
dobroci Twej nie pomieści
wszechświat i serce nasze.

SEKWENCJA NA WIELKANOC

Przerzuciłeś pomost
ku brzegom pojednania.
Opróżniłeś Grób
by zapełnić nasze dusze.

Wyprzedziłeś nas do Galilei
by obudzić nadzieję,
ceny przydać wierze,
nauczyć nas Zmartwychwstania.

EWANGELIA

Poraż nas jak żołnierzy Piłata
by wiara nasza nie skrzepła.
Oba! uderzeniem światła,
by serce nie oślepło.

Daj nam tęsknotę Trzech Marii.
A jeśli nas przywołasz —
nad życiem naszym otwartym
postaw swojego anioła.

OFERTORIUM

Umysłom przydaj drżenie
większe niż niepokój ziemi
abyśmy w wieków milczeniu
nie byli sądzeni.

SEKRETA

Który uchem łaskawym
przyjmujesz szmer oceanów,
zezwól naszym sprawom
przy Twoich gwiazdach stanąć.

WIERSZ PO KOMUNII

Radość która jest prawdą
i prawdę, która jest radością
Zmartwychwstający — wprowadź
w nasz dom i kość ół.

MODLITWA PO KOMUNII

Któryś otworzył skałe
jak ziemię otwiera ziarno,
daj miłość ludzi i rzeczy
wytrwałą i odważną.

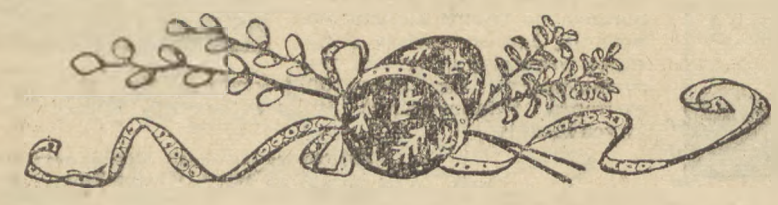

Zbigniew CZAJKOWSKI

Wizja staje się rzeczywistością

PLAN — NIEZŁOMNYM PRAWEM

ROK 1952 zamknął etap pierwszej połowy Planu Sześcioletniego. Okres trzech lat budowy podstaw socjalizmu przyniósł z sobą szereg znamiennych dla Polski wydarzeń, z których na czoło wybija się akt uchwalenia Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Za tym historycznym aktem kryje się bilans ośmioletnich osiągnięć Polski Ludowej, jej powodzenia i trudności, jej droga do socjalizmu. Droga ta wyznaczona jest planem.

Plan w gospodarce socjalistycznej, jako przedmiot polityki gospodarczej państwa, odgrywa istotną rolę. Jest bowiem nie tylko koordynatorem rozwoju poszczególnych gałęzi gospodarki narodowej, ale spełnia przede wszystkim funkcję służebną ustrojowi, jest środkiem, przyśpieszającym jego osiągnięcie.

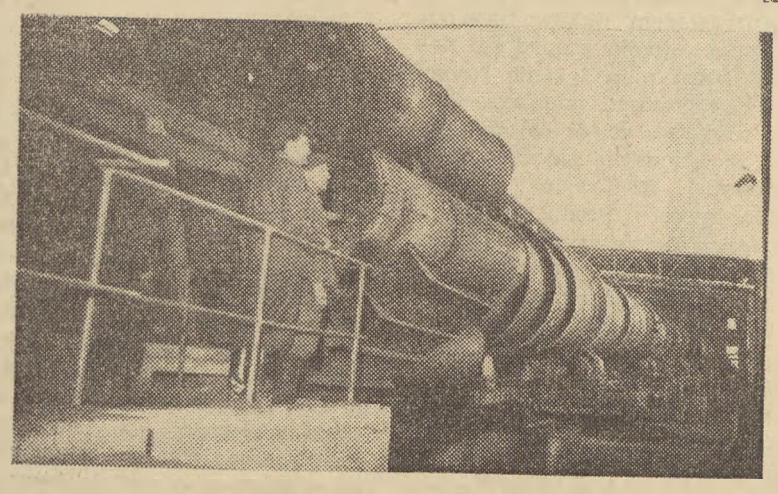

Fragment pieców obrotowych uruchomionej w roku ubiegłym wielkiej cementowni „Wierzbica" *fot. C.A.F.*

Tak więc plan wyrażając potrzeby społeczeństwa budującego socjalistyczny ustrój społeczno-gospodarczy nakłada zarazem na to społeczeństwo obowiązek dotrzymywania i skrupulatnego wypełniania jego postulatów. Najpełniej wyraził to Bolesław Bierut w swym przemówieniu do aktywu górniczego na Śląsku, mówiąc: „Plan — to prawo niezłomne państwa budującego socjalizm".

W połowie drogi Planu 6-letniego wydaje się słuszne dokonanie krótkiego przynajmniej przeglądu osiągnięć gospodarczych i dalszych zamierzeń, przeprowadzenie porównań rozwoju różnych dziedzin, wyciągnięcie na tej podstawie wniosków i wskazań. Interesuje nas również człowiek, twórca i realizator Planu. W sytuacji polskiej problem człowieka, ze względu na proces zachodzących zmian w postawie i świadomości ludzi, jest niezwykle ważny. Poznanie bowiem postawy ludzi może pozwolić na ustalenie, jak dalece i jak głęboko utkwiły w ich świadomości nowe idee społeczno-gospodarcze i przyjęły się nowe formy pracy i życia. Nie należy przy tym zapominać, że realizacja Planu dokonuje się w specyficznym uwarunkowaniu politycznym, w okresie przygotowań wojennych, inspirowanych przez obóz imperialistyczny.

Dlatego też nasze spojrzenie wstecz, nasza analiza realizacji zamierzeń gospodarczych nakreślonych w Planie 6-letnim musi uwzględniać wszystko, zarówno ekonomiczne, jak i polityczne uwarunkowania, słowem musi być możliwie wszechstronna.

PRZECIW TENDENCJOM POWSZEDNIOŚCI

JEST dosyć powszechnym i znamiennym zjawiskiem, że w obecnym okresie budowania naszej rzeczywistości częściej operuje się perspektywą przyszłości niż zestawia się faktyczne już osiągnięcia. Znacznie więcej mówi się o tym, ile wybudujemy w najbliższym czasie fabryk, szkół i domów mieszkalnych niż o tym, ile już fabryk i szkół wybudowaliśmy. Nieświadome to pomniejszanie faktycznych już osiągnięć na rzecz wizji przyszłości wypływa z postawy priorytetu przyszłości nad teraźniejszością, wypływa z dynamizmu ustroju, w którym jakość każdego nowego dnia jest silniejsza od dni ubiegłych. Wydaje się, że w tej postawie, która jest najdobitniejszym wyrazem walki „nowego" ze „starym", znajdują się jednak i akcenty niewłaściwe, niesłuszne.

Plan Sześcioletni z początku czasem wyprzedzał nas swym tempem. Oszołomienie to z czasem stępiło się. Codzienne komunikaty o nowych sukcesach produkcyjnych, o uruchomieniu nowych zakładów produkcyjnych i placówek kulturalnych przerodziły się w charakterystyczną cechę „powszedniości" wydarzeń, w bierne, beznamiętne notowania ich jako faktów nierozerwalnie związanych z procesem socjalizacji kraju. Uczuciowość nasza i stopień reakcji na wydarzenia, które nie mają precedensu w całej historii Polski, zostały ograniczone automatycznym rejestrem, który w żadnym wypadku nie znajduje uzasadnienia w zimnej postawie rejestratorów. Wystarczy przytoczyć tylko fakt, że w ciągu ubiegłego roku **powstawało tygodniowo w naszym kraju przeciętnie dziewięć średnich i wielkich zakładów przemysłowych**, aby uprzytomnić sobie, jak głęboka treść kryje się za tą liczbą. Proces uprzemysłowienia kraju, dokonywający się szybciej niż w najbardziej rozwiniętych krajach kapitalistycznych w okresie ich prosperity, jest zjawiskiem wyrywania Polski z wiekowego zacofania gospodarczego i forsownego nadrabiania naszych opóźnień. Fakty te powinny docierać do naszej świadomości równolegle do codziennych komunikatów o powstawaniu dalszych budowli socjalizmu, powinny znajdować żywy oddźwięk w postawie uczuciowej, w przyjmowaniu się i rozumieniu zjawisk, w reakcji na proces tworzenia „nowego".

Postawa taka pozwoli nam znacznie głębiej ocenić sukcesy pierwszego etapu Planu Sześcioletniego, które zamknęły się okresem trzech lat. Analiza osiągnięć nie przyjmie w tym wypadku roli statystycznego rejestratora, który nie nadążyłby zresztą w notowaniu nazw i liczb, ale pozwoli nam ocenić całość dokonywanego procesu. Plan Sześcioletni nosi pełną nazwę planu rozwoju gospodarczego i **budowy podstaw socjalizmu**. Celem Planu jest więc budowa ustroju, którego urzeczywistnienie możliwe jest na bazie przekształcenia całego systemu społeczno-gospodarczego. To ekonomiczne uwarunkowanie zasad budowy socjalizmu znajduje swe ujęcie w podstawowym prawie ekonomicznym socjalizmu, sformułowanym przez Stalina: „Zapewnienie maksymalnego zaspokojenia stale rosnących materialnych i kulturalnych potrzeb całego społeczeństwa w drodze nieprzerwanego wzrostu i doskonalenia produkcji socjalistycznej na bazie największej techniki".

ODPOWIEDŹ IMPERIALISTYCZNEJ BLOKADZIE

REALIZACJA Planu Sześcioletniego dzieje się w konkretnych warunkach czasu i otoczenia. Sytuacja polityczna stanowi tło, na którym rozgrywa się wielki, dziejowy proces walki między ginącym światem kapitalistycznym i tworzącą się erą socjalizmu. Proces zaostrza się tym bardziej, z im większą siłą spełnia się historia. Pierwszy rok Planu Sześcioletniego — 1950 — jest również rokiem agresji amerykańskiej na Północną Koreę. Nie należy upraszczać i bezpośrednio łączyć przyczynowo tych dwóch wydarzeń, niemniej jednak przypadkowość ich, jak i inne, podobne przypadkowości, potwierdzają tezę, że imperializm chwycił za ostateczną swą broń. Groźbą zagrożenia pokoju światowego imperializm amerykański usiłuje wytworzyć aurę niepewności; metodami presji politycznych na mniejsze państwa kapitalistyczne, drogą zrywania umów handlowych z państwami obozu pokoju, budowaniem barier surowcowych, takimi i innymi posługując się metodami, dąży imperializm do podważenia budowy socjalizmu w Polsce i w innych krajach demokracji ludowej. Przede wszystkim jednak atak gospodarczo-polityczny godzi w istotę Planu, w podważanie autorytetu jego treści i liczb. Stwierdzenie realności Planu faktami jego wykonania w poszczególnych latach odebrało propagandzie zachodniej możliwość krytyki merytorycznych tez Planu, nie oznaczało to jednak przerwania walki.

Na tym tle nie wydają się już przypadkowe takie fakty, jak zerwanie przez St. Zjednoczone umowy z Polską o dostarczenie wyposażenia do budowy huty oraz przerwanie obiecanych dostaw brakujących części do wyprodukowanego w kraju wielkiego dźwigu-taśmowca dla portu w Szczecinie. Podobnie nie jest przypadkiem fakt niewydania nam przez rząd angielski wybudowanych przez tamtejsze stocznie dwóch wielkich statków-tankowców.

Bezpośrednim celem imperialistycznej blokady było opóźnienie wykonania Planu Sześcioletniego i rozluźnienie jego proporcji poprzez zahamowanie dopływu ważnych surowców. Nie można pominąć również politycznych uwarunkowań wykonania Planu, wynikających z polityki zbrojeń Stanów Zjednoczonych i remilitaryzacji Niemiec Zachodnich, jako aktów zwróconych przeciw pokojowemu budownictwu państw socjalistycznych. Fakt ten zmusił nas do zrewidowania Planu w sensie podjęcia i zrealizowania wszystkich środków obronnych, warunkujących bezpieczeństwo kraju i możność wykonania podstawowych zadań.

Bezpośrednia i pośrednia forma walki polityczno-ekonomicznej, prowadzonej przez imperialistów, nie tylko nie podważyła realizacji Planu, lecz dla samych wykonawców blokady ekonomicznej okazała się w skutkach niepomyślna. Polityka St. Zjednoczonych spowodowała rozbicie rynku światowego na dwie części. W konsekwencjach tego rozbicia okazało się, że większość państw kapitalistycznych biorących pod presją St. Zjednoczonych udział w blokadzie, bezpośrednio na swej skórze odczuła skutki przerwania wymiany towarowej między Wschodem a Zachodem. Przed państwami tymi stanął dylemat — albo zmniejszenie konsumcji wewnętrznej i ograniczenia, albo też, co było silnie zalecane przez mocodawców amerykańskich — przyjęcie „pomocy" gospodarczej St. Zjednoczonych, co zachwalane początkowo jako wybawienie z trudności gospodarczych przyniosło w konsekwencji również ograniczenia i zmniejszenie konsumcji. „Wybór" dokonany został jednostronnie i zakończył się podporządkowaniem polityczno-gospodarczym wpływom amerykańskim oraz dalszymi konsekwencjami: zmniejszeniem krajowej produkcji, zlikwidowaniem części nierentownych już zakładów przemysłowych, zwolnieniem z pracy robotników...

W kwietniu ubiegłego roku, na konferencji ekonomicznej w Moskwie, w której wzięli udział przedstawiciele sfer handlowych i ekonomicznych różnych narodów, wskazywano, jak dalece polityka poszanowania wzajemnych interesów i wymiana towarowa między światem kapitalistycznym a światem socjalistycznym wpłynęłaby na ogólne odprężenie antywojenne. Jak niedawno jeszcze, jako oczywisty dowód poparcia tej tezy, milion ton zboża radzieckiego płynęło z portów Morza Czarnego do Wielkiej Brytanii, będąc wyrazem popierania przez rząd radziecki polityki współpracy ze wszystkimi krajami. Polityka ta w dalszym ciągu jest wytyczną rządu radzieckiego w jego stosunkach zarówno z krajami socjalistycznymi, jak i kapitalistycznymi, znajdując potwierdzenie w ostatnim przemówieniu Przewodniczącego Rady Ministrów ZSRR G. Malenkowa: „Rząd Radziecki będzie prowadził... politykę współpracy ze wszystkimi krajami i rozwijania z nimi stosunków gospodarczych na zasadzie poszanowania wzajemnych interesów"...

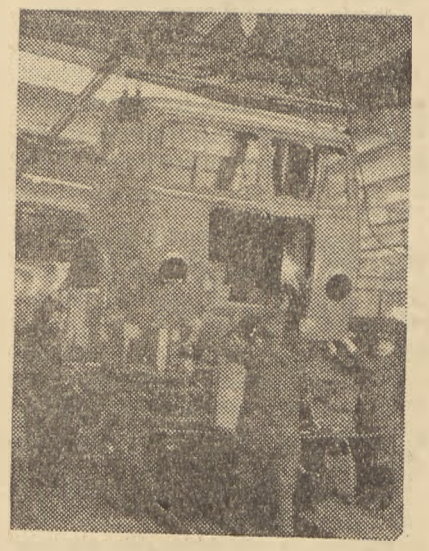

Przeszło dziesięć tysięcy znanych na naszych drogach samochodów „Star 20" zeszło już z taśmy montażowej F.S.C. w Starachowicach. *fot. C.A.F.*

Obiektywne trudności sytuacji ekonomiczno-politycznej nie nadarwały tempa rozwoju naszej produkcji przemysłowej. Trudności surowcowe zostały przezwyciężone dzięki ściślejszemu nawiązaniu kontaktów gospodarczych z krajami zaprzyjaźnionymi, z ZSRR, z Chinami Ludowymi, z krajami demokracji ludowej. Założenia poszczególnych lat Planu Sześcioletniego nie tylko, że zostały wykonane, lecz nawet przekroczone, np.

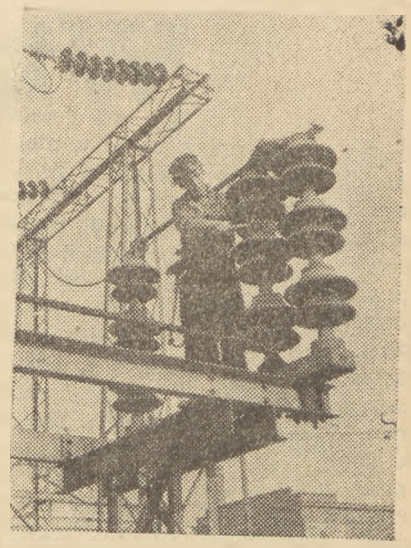

Montaż rozdzielni elektrowni „Jaworzno II" *fot. C.A.F.*

w roku 1950 o 8,8% w stosunku do założeń Sześciolatki, w roku 1951 o 15,4%, w roku 1952 o 14%. **W roku 1953 zaczęliśmy na niektórych ważnych odcinkach przemysłu wykonywać zadania roku 1954.**

Zupełnie podobnie do rozwoju przemysłu przebiega wykonywanie Planu **w dziedzinie inwestycji i budownictwa, gdzie w roku 1953 nastąpiło roczne wyprzedzenie zadań postawionych w Sześciolatce.**

Fakty powyższe stanowią najlepszą odpowiedź na akty blokady imperialistycznej. Rozpad rynku światowego nie zdeterminował naszego rozwoju. Rozpad ten pogłębiając kryzys ekonomiczny na Zachodzie tym silniej podkreślił przepaść gospodarczą dwóch ustrojów: rozkładającą kapitalizmu i twórczą socjalizmu.

PRZECIW METODOM „KRUCJATY"

ŹRÓDŁEM powodzenia wykonania Planu jest przede wszystkim spokój wewnętrzny państwa i jedność działania jego obywateli. W przeglądzie sytuacji minionych trzech lat widzimy toczącą się walkę o utrzymanie tego pokoju i o stworzenie warunków realizacji Planu.

Reakcyjne metody prowadzenia akcji zmierzających do wywołania wewnętrznego zamętu są bardzo „bogate". Niekoniecznie muszą przyjmować formę aktów sabotaży albo szpiegostwa. Wystarczy tylko stopniowe, ale za to ciągłe podrywanie zaufania do celu zamierzeń, szerzenie dezorientujących plotek, aby nieuświadomiona i niezdecydowana grupa ludzi zaczęła się wahać. Chwiejność ich ideowo-politycznej postawy wypływa z małego wyrobienia politycznego: czując doniosłość dokonywających się przemian jeszcze ich nie rozumieją. Okoliczności te wykorzystywane są przez inspiratorów niepokoju jako „pole" ich walki o człowieka.

W porównaniu do pierwszych lat po odzyskaniu niepodległości, gdy metody reakcji siania niepokoju opierały się przede wszystkim na działalności podziemia, obecnie, po udaremnieniu tych akcji przez Państwo, reakcja sięgnęła po nową broń.

Po załamaniu się argumentów politycznych i aktów blokady gospodarczej propaganda imperialistyczna zaczęła tendencyjnie dopasowywać do swej polityki średniowieczne hasła o „przedmurzu chrześcijaństwa", o konieczności podjęcia współczesnej „krucjaty" przeciw komunizmowi. Propaganda ta popiera te hasła szeroką i patetyczną podbudową, w której powoływanie się na Kościół i jego misję miało stać się najbardziej autorytatywnym argumentem w montowaniu wojennego bloku przeciw państwom socjalistycznym. Siła oddziaływania tego typu jest odwrotnie proporcjonalna do wyrobienia polityczno-społecznego naszego narodu.

(dokończenie na str 6)

Wizja staje się rzeczywistością

Trzeba jednak przyznać, że w niektórych wypadkach sugestie propagandy zebrały swe plony. Jest to tym bardziej dla nas przykre, że szczególnie na przekonaniach ludzi o chwiejnym politycznie obliczu zaważyły właśnie argumenty religijne, uzasadniające związek i istnienie wiecznego Kościoła z przemijającym ustrojem kapitalistycznym. Propaganda reakcyjna usiłuje wmówić, że istnienie i misja Kościoła może być spełniana tylko i wyłącznie w ustroju kapitalistycznym. Następnym krokiem takiej „argumentacji" było stwierdzenie, że Kościół akceptuje i popiera również i formy gospodarki kapitalistycznej, w łonie której możliwe jest tylko jedynie — jak to twierdzą niektórzy reakcyjni komentatorzy — Jego posłannictwo.

Niechaj odpowiedzią na tę interpretację ducha wiecznego, ponadczasowego Kościoła będzie fragment z podanej ostatnio do wiadomości Instrukcji Księży Biskupów p. t. „Duchowieństwo polskie w życiu własnego narodu": **„Kościół ponadczasowy, niezależny od warunków życia i od ludzi — ma spełnić swoje posłannictwo w każdym czasie, w każdych warunkach i wobec wszystkich ludzi. Od wypełnienia tego posłannictwa nie mogą nas zwolnić: ani nowe czasy, ani nowe warunki życia, ani nowi ludzie. Gdybyśmy inaczej myśleli, przeczylibyśmy posłannictwu Kościoła — aż do skończenia świata — zdradzalibyśmy upadek wiary w moc zbawczą Kościoła, pomniejszalibyśmy wartość jego dla wieków nadchodzących".**

Na tym tle „religijnych" prób zakłócenia wewnętrznego pokoju osiągnięcia nasze streszczają się w zawartym w 1950 roku Porozumieniu między Episkopatem a Rządem, regulującym stosunki między Kościołem katolickim w Polsce a Państwem socjalistycznym. Porozumienie jest aktem historycznym nowym. W epoce tworzącego się socjalizmu jest pierwszym aktem tego typu. Duch Porozumienia wypływa ze zrozumienia sytuacji dziejowej: Państwo spełnia swe zadania polityczno-społeczne; jego funkcja kierownicza i organizacyjna wypływa z postawy społeczeństwa, które dąży do określonego celu — do lepszego, sprawiedliwego ustroju społecznego; Kościół ponadczasowy, nauczający o wspólnocie nadprzyrodzonej, głoszący Prawdy Boże, ma za obowiązek **„je ściśle stosować do najpilniejszych potrzeb człowieka w życiu współczesnym"** — jak mówi cytowana wyżej Instrukcja.

Rozgraniczenie tych pojęć znajduje pełne uzasadnienie w tekście Porozumienia, będącego aktem zapewnienia przez Państwo wolności religijnej i przez Episkopat poszanowania polskiej racji stanu.

Dotrzymanie warunków Porozumienia, pojętego w takim duchu, jest aktem odparcia ataków na pokój wewnętrzny i przebudowę gospodarczo-społeczną.

ŹRÓDŁA SIŁY

PLAN Sześcioletni przewiduje, że wartość produkcji przemysłowej w roku 1955 będzie ponad 2,5 raza wyższa niż w roku 1949. W połowie wykonania Planu, w roku 1952 osiągnęliśmy poziom produkcji, której wartość była prawie dwa razy wyższa od wyjściowego roku 1949. Porównanie tych liczb daje nam pojęcie o sile tempa pierwszych trzech lat. Wystarczy tylko przypomnieć, że roczny, przeciętny przyrost produkcji przemysłowej w każdym z tych lat w stosunku do poprzedniego wahał się w granicach 20 — 30%. Szybkość dokonywanego procesu uprzemysłowienia nie ma swego precedensu w rozwoju przemysłowym krajów kapitalistycznych. Podobne tempo, nawet jeszcze silniejsze, cechowało tylko proces uprzemysłowienia Związku Radzieckiego. Obecnie spotykane jest ono wyłącznie w krajach budujących socjalizm.

Możliwość tych osiągnięć jest wynikiem jedności działania całego społeczeństwa. Nie można sobie wyobrazić, aby kolosalne przemiany w dziedzinie przemysłu zostały dokonane pracą nielicznych ludzi. W tworzeniu tych wartości, które składają się na imponujące liczby **podwojenia produkcji przemysłowej w ciągu trzech lat**, musiało wziąć udział całe społeczeństwo. Jest ciekawe, dlaczego i w jaki sposób w ogniu walki o człowieka, o pozyskanie go dla budownictwa socjalistycznego, walki, prowadzonej z propagandą imperialistyczną i z reakcją, zwycięsko wyszedł socjalizm.

Już w trakcie realizacji Planu Trzyletniego energia i zapał, z jakim Polacy przystępowali do odbudowywania i uruchamiania przemysłu i innych dziedzin gospodarki narodowej, stały się źródłem przyszłego optymizmu, gdy opracowane wytyczne Sześciolatki stawiały zadania niewspółmiernie wyższe, na pozór niewykonalne. Okres niewiary w możliwość zrealizowania Planu Sześcioletniego już po upływie pierwszych dwu lat przerodził się w podziw, a dotychczasowa bierność wielu ludzi przekształciła się w twórczą pracę. Fakty stwarzały podstawę optymizmu i zaufania do liczb, do ustalonych proporcji, do samej treści Planu. Równocześnie budziło się i narastało przywiązanie do owoców tej pracy. Obraz świeżych, wznoszących się murów nowych budowli stał się symbolem nowej epoki. Widok ten dawał znacznie lepsze i bardziej zrozumiałe pojęcie jego treści, niż pozbawiona siły wyobraźni liczba 723 tysięcy nowych izb mieszkalnych, stanowiąca zadania Sześciolatki.

Dokończenie ze str. 5

W tym samym mniej więcej czasie w Zachodnich Niemczech Adenauer, inspirowany przez amerykańskich mocodawców, rozpoczął kampanię antypolską, skierowaną przeciw Ziemiom Zachodnim i granicy na Odrze i Nysie. Konfrontacja tych dwu pojęć: osiągnięć pokojowego budownictwa i możności jego zniszczenia nową wojną zrodziła poczucie wspólności narodowej, stała się gwarancją jedności społeczeństwa zagrożonego wojną. Takie są źródła Frontu Narodowego, który jest odpowiedzią społeczeństwa na próby naruszenia wewnętrznego i zewnętrznego pokoju. Front Narodowy, zrzeszający wszystkich uczciwych Polaków, bezpartyjnych i partyjnych, wierzących i niewierzących, stał się wyrazem postawy narodu wobec najważniejszego problemu polityki światowej, problemu pokoju. Jedność społeczeństwa we Froncie Narodowym jest pojęta nie statycznie, lecz przez działanie, przez udział poszczególnych ludzi w pracy i walce o Plan. Zrozumienie i poczucie wspólności zadań jest jednym z największych osiągnięć pierwszego etapu Planu Sześcioletniego. W tym tkwi źródło siły i optymizmu, że Plan będzie zrealizowany.

ENTUZJAZM TWÓRCZY I ENTUZJAZM PŁYTKI

STALIN w jednym ze swych słynnych artykułów, poświęconych omówieniom tempa rozwoju gospodarki radzieckiej na wsi, a zatytułowanym „Zawrót głowy od sukcesów", dał przenikliwą ocenę ludzi, którzy oszołomieni powodzeniami gospodarczymi „tracą poczucie miary, tracą zdolność pojmowania rzeczywistości, nabierają skłonności do przeceniania własnych sił i niedoceniania sił przeciwnika, rodzą się w nich awanturnicze próby rozstrzygnięcia wszystkich zagadnień budownictwa socjalistycznego „w oka mgnieniu".

Ten zimny tusz na głowę płytkich entuzjastów jest wyrazem realizmu w ocenie rzeczywistości: nieprzeceniania powodzeń i dostrzegania braków. Nadmierni entuzjaści nie dostrzegają drugiej części problemu i z tego powodu, widząc jedynie sukcesy, chcieliby zbyt prędko zdyskontować socjalizm. Ludzie ci są przekonani, że urzeczywistniający się ustrój socjalistyczny może zapewnić im już teraz, w wyniku dotychczasowych osiągnięć, te wszystkie prawa i przywileje, które stanowią cel naszej drogi. Niemożność spełnienia ich życzeń ostudza ich zapały, przekształcając dotychczasowy entuzjazm w oportunistyczny krytycyzm.

Fakt wielkiego rozwoju przemysłu i rozpoczęcia produkcji nowych maszyn: po raz pierwszy w historii Polski budowy fabryki samochodów, produkcji własnych statków pełnomorskich, wyrabiania nowych typów obrabiarek, traktorów — dowodzi o zbudowaniu w krótkim czasie potężnej bazy przemysłowej, nie dowodzi jednak wcale, że zostało w pełni spełnione prawo proporcjonalnego rozwoju wszystkich gałęzi gospodarki narodowej. Konkretnym przykładem nierównomierności tempa rozwoju gospodarki narodowej jest nienadążanie rolnictwa za pozostałymi gałęziami. Problem rolnictwa został ostatnio jasno i zdecydowanie postawiony na Pierwszym Krajowym Zjeździe Spółdzielczości Produkcyjnej w Warszawie. Rolnictwo polskie, które do dziś dnia opiera się w większości na fundamentach dawnej, zacofanej gospodarki indywidualnej, nie jest w stanie dogonić, mimo swego niewątpliwego postępu, uciekającego przemysłu. Wzrastające potrzeby przemysłu, jak również wzrost siły nabywczej klasy robotniczej pogłębiły jeszcze tę dysproporcję między możliwością zaopatrzenia rynku produktami rolniczymi przez wieś a siłą nabywczą tego rynku. Źródło tego stanu rzeczy tkwi w strukturze rolnictwa. Usunięcie jego możliwe jest jedynie na drodze szybkiej socjalizacji wsi, zwiększenia produkcji rolniczej przeznaczonej dla powszechnej konsumcji i podniesienia wydajności gleby.

W ciągu pierwszych trzech lat Planu Sześcioletniego roczny przyrost nowych spółdzielni produkcyjnych wahał się w granicach 1 200 — 2 000 gospodarstw zespołowych. Bilans i wyniki produkcji rolniczej wykazały, że proces ten jest zbyt powolny, jest niewystarczający w stosunku do potrzeb całej gospodarki. Tempo przekształcania wsi polskiej musiało zostać zwiększone. Proces przebudowy społeczno-gospodarczej wsi, opierający się na zasadzie dobrowolności i wykazywania przewagi gospodarczej nowych metod zespołowych nad gospodarką indywidualną, musiał być poparty szeroką akcją uświadamiającą. Podstawy do tej akcji zostały przygotowane w pierwszej fazie Sześciolatki. Drugi etap walki o socjalizację rolnictwa rozpoczęty został Zjazdem Spółdzielczości Produkcyjnej w lutym br. Po Zjeździe wyniki w organizowaniu się nowych jednostek socjalistycznych na wsi są znacznie wyższe. Wystarczy przytoczyć, że w okresie pierwszego kwartału 1953 roku powstało około 700 nowych spółdzielni. Świadczy to o tym, że argumenty i przykłady wysuwane na Zjeździe trafiają do przekonania chłopów. Fakt ten nastraja ufnością, że przełom w mentalności społeczeństwa wiejskiego i jego całkowite opowiedzenie się za nowymi formami pracy wiejskiej przybliża się.

Na tym tle problem trudności towarowych, a zwłaszcza na odcinku produktów rolnych, jest zrozumiały. Nawet płytki entuzjasta, który dotychczas ulegał zmiennym nastrojom, „zawrotom głowy od sukcesów", względnie poddawał się zwątpieniu, powinien zrozumieć, że w okresie wielkich osiągnięć na pewnych odcinkach gospodarki niedorozwój innych gałęzi powoduje komplikacje i trudności. W takich chwilach przejściowych o szybkości zlikwidowania dysproporcji i błędów gospodarki decyduje postawa społeczeństwa. Pełne przejęcie się doniosłością sprawy pozwala w takich okresach wzbudzić entuzjazm twórczy, entuzjazm polegający na zrozumieniu chwilowych wyrzeczeń i poświęceń. Postawa taka jest właściwa socjalizmowi, a społeczeństwo, które ją realizuje, wykształca w sobie społeczną świadomość socjalistyczną...

WIZJA STAJE SIĘ RZECZYWISTOŚCIĄ

ZASZŁE przemiany polityczne, społeczne i gospodarcze zostały utrwalone w Konstytucji Lipcowej. Konstytucja zamknęła historyczny etap przebudowy ustroju państwa, które niedawno jeszcze, osiem lat temu, przedstawiało obraz ruiny. Gospodarka planowa przekształciła ekonomikę kraju. Właścicielem bogactwa narodowego stał się lud pracujący, nie ma klęski społecznej — bezrobocia, nie ma kryzysów, w stosunkach pracy i produkcji zostało zlikwidowane prawo kapitalistycznego wyzysku. Wyprowadzenie kraju z jego zacofania społecznego i ambicja dorównania i wyprzedzenia w rozwoju gospodarczym najbardziej uprzywilejowanych państw kapitalistycznych—stają się już faktami w miarę realizacji Planu Sześcioletniego. Wysiłek narodu nie poszedł na marne.

Osiągnięcia te, dokonane z dużym trudem, w walce z wrogiem zewnętrznym i wewnętrznym, pozwalają na podstawie oceny przeszłości, faktów i dokonań zdawać sobie sprawę z tego, że rzeczywiście zbliżamy się do lepszej przyszłości. Wizja socjalizmu, ustroju, który zabezpieczy potrzeby społeczeństwa, który zaspokoi mu możliwość maksymalnego zapewnienia potrzeb kulturalnych i materialnych, zaczyna przybierać realny, rzeczywisty obraz. Obraz ten nie tworzy się jednak sam. Tworzą go ludzie. Dlatego też urzeczywistnienie go nakłada na nas obowiązek wkładu pracy w jego budowę. Pięknie wyraził ten apel Bolesław Bierut mówiąc, że chcemy „...z kraju na wpół rolniczego, w którym ziemia dawała — i jeszcze daje, niestety — bardzo niskie urodzaje (nie dlatego, że jest zła, ale dlatego, że jest uprawiana w sposób przestarzały), uczynić kraj wysoko uprzemysłowiony, kraj żelaza, betonu i stali, kraj maszyn i elektryczności, kraj wysokiej techniki zarówno w przemyśle, jak i w rolnictwie, kraj korzystający w pełni ze swych ukrytych dotąd i słabo wykorzystanych, ale bezspornie wielkich bogactw naturalnych, kraj jednolity gospodarczo i kulturalnie, kraj wielkiej metalurgii i wielkiej chemii, kraj żeglugi morskiej i portów światowych, kraj wysokich urodzajów i wysokiej kultury".

Zbigniew Czajkowski

NOWE POEZJE

Wanda Karczewska: Ziarno kiełkujące. Czytelnik, 1952. Str. 58 + 6.

Wiersze Karczewskiej kuszą do snucia rozważań na temat „szczerości", „bezpośredniości", „prostoty" poezji. Niewiele jednak mogłyby nam pomóc tego rodzaju wieloznaczne i niejasne określenia. Łatwo posługując się nimi pisać poematy o poematach, trudniej określić istotne i charakterystyczne cechy czyjejś twórczości. A jednak... A jednak lektura „Ziarna kiełkującego" wprowadza nas w atmosferę „naiwnego", „bezpośredniego" przeżywania poezji: nie czytamy tych wierszy, raczej słuchamy ich. Słuchamy głosu poetki, która mówi do nas o sprawach swoich, osobiście ją obchodzących, konkretnie przez nią przeżytych.

Otóż to! Teraz możemy już pożegnać się ze „szczerością" „bezpośredniością" itp. Poezja Karczewskiej jest liryką wyrażającą konkretne przeżycia konkretnego ludzkiego *ja*. Nie bez powodu utwory tak nieosobiste, jeżeli chodzi o ich materiał tematyczny, jak np. „Śpiew starego drzewa", „Dziewczynka koreańska mówi", pisane są w pierwszej osobie, a np. „Spotkanie na Petrzynie", noszące podtytuł: „Wstęp do poematu o Juliuszu Fučiku" — w drugiej. W pierwszym wypadku bohaterowie utworów stają się „rolami" poetki, w drugiej — fikcyjnymi protagonistami pozornego dialogu. Nie chodzi jednak autorce o wymyślne tricki konstrukcyjne. Zarówno „rola", jak i dialog pozorny posiadają u Karczewskiej głębokie uzasadnienie merytoryczne: są wyrazem pełnej ideowej solidarności poetki z jej bohaterami.

Ta poezja nie jest „literaturą — papierową resztą życia", jest liryczną konkretyzacją realnych przeżyć wewnętrznych żywego człowieka. I na tym polega jej siła. I dlatego Karczewskiej udaje się jeden z najtrudniejszych eksperymentów poetyckiej alchemii: przemiana poetyczności w poezję. Żywy nurt realnego ludzkiego przeżycia wlewając się w skonwencjonalizowaną nawet formę poetyckiego wyrazu rozżarza ją, rozświetla od wewnątrz blaskiem nowości.

Poezja głęboko ludzka, głęboko osobista, a przecież nie zagubiona w prywatności i egotyzmie, przecież czuj nie śledząca bieg naszego czasu, pochylona nad nim z ufnością i miłością. Może czasem zbyt łatwo zadowalająca się wzruszeniem i obrazem, poprzestająca na zaatakowaniu tylko wrażliwości czytelnika, ale przecież nawet w swych pewnych manieryzmach, w gestach lirycznej kokieterii lub nazbyt gromkiego patosu — bardzo własna, brzmiąca odmiennym, dla niej właściwym tonem.

Stefan Lichański

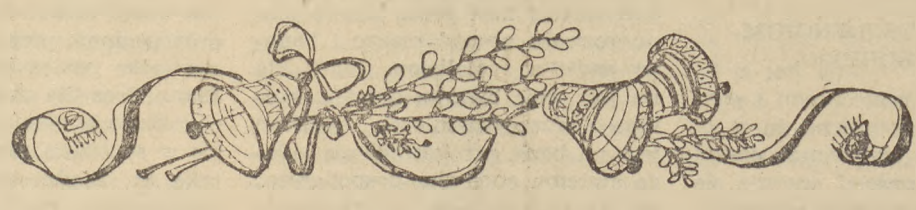

Janusz OSTASZEWSKI

OD HYJDLI DO JADZI*)

POŚRÓD głębokich lasów baranowickich, na świeżutkiej mogile — prosty, drewniany krzyżyk. To grób Pawła Wróbla, Ślązaka, co rzuciwszy nienawistny mundur niemiecki — przystał do partyzantów, by w dalekich lasach baranowickich, śmiercią od rany otrzymanej w wypadzie na transport amunicji, ostatecznie zadokumentować swoją polskość i swój patriotyzm.

Paweł Wróbel zaprzyjaźnił się w czasie swej partyzanckiej doli z Kazimierzem Skorenko, dowódcą oddziału partyzanckiego. Szumiały nad ich głowami lasy baranowickie, gdy Paweł swoją nieporadną, śląską polszczyzną opowiadał przyjacielowi *„o swych dzieciach, o żonie, o całej wsi, o całej śląskiej ziemi. Skorenko słuchał tych opowiadań, jak słucha się opowieści o ludziach żyjących na Marsie. Nie umiał wyobrazić sobie tego świata, z którego wyszedł ów Ślązak..."*

A przecież nie był to jakiś daleki, inny świat. Małe Chleby, rodzinna wieś Pawła Wróbla — byłci to wszak że Śląsk, prastara ziemia polska. By ła to ta część Górnego Śląska, którą granica z r. 1921 odcięła od macierzy.

Decyzja Rady Ligi Narodów, ogłoszona 12 października 1921 r., a zatwierdzona 19 października tegoż roku przez Radę Ambasadorów, rozdarła żywy organizm gospodarczy i narodowy. Dyplomaci zachodnio-europejscy nie liczyli się z wolą ludu śląskiego, który trzecim powstaniem śląskim dokumentował, że chce nale żeć do Polski.

Ojciec Pawła Wróbla, starzyk z po wieści Bednorza, młody był jeszcze w owe czasy, a wraz z nim i inni małochlebscy mieszkańcy. Z gorącym patriotycznym uniesieniem wczytywali się w odezwy powstańcze, które takim do nich wołały językiem: *„Uciemiężony i uciskany od wieków przez niemieckich kapitalistów, bankierów i junkrów robotnik śląski chwycił za broń i nie da jej sobie wydrzeć nikomu, dopóki nie zdepcze międzynarodowych intryg, które ziemię śląską zaprzedać chciały kapitalistom niemieckim"* (cyt. za Kazimierzem Piwarskim: „Historia Śląska", Katowice — Wrocław, 1947, str. 412).

Z jakim to przekonaniem śpiewali w oddziałach powstańczych Wróble i Szymiki, i Kuloziki, Złotosie i Biskupki, wypierając Niemców za Odrę, a potem walcząc z kontrofensywą gen. Hoefera:

Powstańców nie wiążą wersalskie traktaty
Ni pakta bankierów i tchórzy;
Niech warczą maszynki, zagrają armaty
Lud pęta potarga, każdy zburzy.
My skomleć nie będziem o pomoc w Paryżu
Ni błagać Lloyd George'a w Londynie.
My poślem wymowną odpowiedź ze spizu:
Śląsk Górny i Polska nie zginie.
My Gliwic ni Zabrza Prusakom nie damy
I włoski obronim strzeleckie,
Za wolność, Śląsk Górny swe życie składamy,
Zwyciężym zamiary zdradzieckie.

A po każdej zwrotce wracał gromko ten refren:

O cześć wam szachraje z Londynu
Za strugi krwi śląskiej przelane,
My dzierżym karabin, nie boim się czynu,
Wyzwolim swe Śląsko kochane!

(cytowane wg. Zdzisława Hierowskiego: „Śląsk walczący". Poezja i pieśń. Katowice—Wrocław 1946).

Nie spełniły się jednak gorące pragnienia ludu śląskiego. Gliwice, Zabrze, Bytom, Raciborz, Opole — i setki osad zamieszkałych przez Polaków, osad takich jak Małe Chleby — pozostało po niemieckiej stronie. I znowu zaczęły się lata trudnej, codziennej walki o zachowanie języka i polskości.

Nie nowość to była dla ziemi śląskiej, która przez długie i zmienne swe dzieje — od owego fatalnego roku 1339, kiedy Polska straciła ją formalnie na rzecz Czech — umiała uchronić mowę ojców i zachować po czucie związku z macierzą.

Polskim językiem przemawiał Ślązak Walenty Roździeński, opisując *„hutę y warstat z kuźniami szlachetnego dzieła żelaznego"* (1612). Polskim językiem przemawiali do ludu śląskiego protestanci, arianie i kalwini XVI i XVII wieku. Po polsku odpowiadali im katolicy. W Brzegu drukowano po polsku luterańskie kancjonały. Polski był *„Głos synogarlicy na pustyni, świata tego*

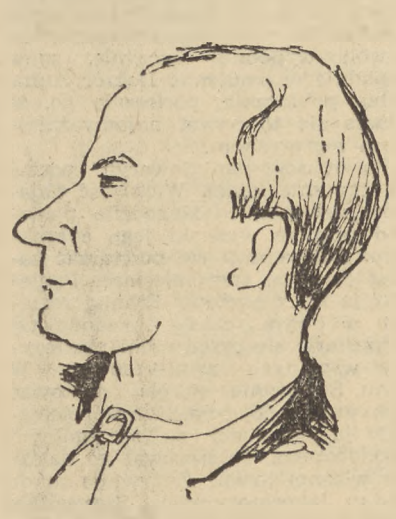

jęczącej" — najpopularniejszy na Śląsku modlitewnik, co doczekał się dziewięciu wydań w XVIII i ośmiu w XIX wieku. Po polsku kazał do pątników spieszących na górę św. Anny o. Wacław Waxmański, którego *„Nowa Jerozolima albo Kalwaria Całej Męki Jezusowej i Bolesnej Matki Jego Maryi Panny, wyrażająca Drogi w Górnym Śląsku na Górach Chełm teraz Anny Świętej nazwanych"* — ukazała się we Wrocławiu Roku Pańskiego 1767.

Kiedy w kilka wieków po oderwaniu Śląska od Polski Julian Ursyn Niemcewicz w swoich niezmordowanych wędrówkach po ziemiach polskich o Śląsk zawadzi, znajdzie tam — Polskę. *„Wszystko na drugiej stronie takie jak u nas: taż sama mowa, obyczaje, strój, położenie kraju, wszystko świadczy, że Polska i Śląsk jednym narodem, jedną były krainą. Mimo przez tyle wieków niekorzystnych okoliczności, została mowa polska — szczególnie w pospólstwie — taką, jaką była za Piastów"*. (cyt. za Zb. Bednorzem: „Śląsk wierny Ojczyźnie". Poznań 1946).

Wiek XIX. Walka na Śląsku trwa. Wiążą się z nią nazwiska takie, jak Pohlego, Bandtkiego, ks. Szafranka, ks. Bogedaina, Lompy, Stalmacha, Miarki... Walka to — w pierwszym rzędzie — o język polski.

Wincenty Ogrodziński w „Dziejach piśmiennictwa śląskiego" (Katowice — Wrocław 1946) tak pisze: *„...wszystkie objawy polskości Górnego Śląska w pierwszej połowie XIX wieku zaczęły się zacieśniać tylko do języka, co należy uważać za zysk polityki germanizacyjnej, nabyty nie bez mimowolnej pomocy jej przeciwników. Obie strony nie doceniały istotnej siły polskości wśród ludu górnośląskiego: nie stanowiły jej tylko język i nawet obyczaj, stanowił ją przede wszystkim duch polski, któremu można było odmawiać przez całe dziesiątki lat tej nazwy, którą nawet z użycia można było usunąć na jakiś czas, ale żadna moc nie zdołała tego ducha zabić. Żył wśród ludu i objawiał się nieraz tam, gdzie warunki były najgorsze, co więcej— wybuchał czasem płomieniem wśród tych, którzy nie uważali się za Polaków i raczej zaliczali się do Niemców... ...lud przygnieciony ogromem pańszczyzny, pozbawiony inteligencji narodowej, często nawet przez przyjaciół sprowadzany na drogę wiodącą do pruskiej ojczyzny, zachował na przekór losom i ludziom najplemienniejszą w sobie polskość jakby jakieś nienazwane bóstwo, którego wydrzeć z serc nie zdołał nikt i nic... Nie inteligencja górno-śląska unarodowiała przez długie lata lud, lecz przeciwnie, lud unarodowił w końcu znaczną część wyszłej z niego inteligencji"*.

I ten to lud śląski podjął w okresie po r. 1921 na nowo swą upartą, znojną i ciężką walkę o zachowanie polskości w tej części Śląska, która i nadal żyć musiała w oderwaniu od Polski.

Gdy uprzytomnimy sobie siłę i zaciekłość naporu germanizacyjnego, ogrom środków pieniężnych, administracyjnych, propagandowych i policyjnych, którymi rozporządzał (pozbawiony przy tym wszelkich skrupułów) hakatystyczny i hitlerowski nacjonalizm niemiecki — sprawą wręcz zdumiewającą jest siła oporu i wytrwania, jaką okazali Polacy ze Śląska Opolskiego. Bo czyż nie jest zdumiewający fakt, o którym „streng vertraulich" mówi Urząd Statystyczny Rzeszy, komentując dane spisu ludności z r. 1933, że w jednej trzeciej gmin Śląska Opolskiego nastąpił w porównaniu z wynikami spisu ludności z r. 1925 w z r o s t l i c z b y m i e s z k a ń c ó w m ó w i ą c y c h w y ł ą c z n i e p o p o l s k u? Czyż nie powinien nas przejmować szacunkiem i podziwem fakt, ujawniony w tajnych memoriałach, opracowanych przez *„Bund Deutscher Osten"*, że mimo największych w tym kierunku starań nie udało się Niemcom wyprzeć języka polskiego z kościoła na Śląsku Opolskim? (por. Materiały do dziejów nowożytnych Ziem Zachodnich. Tom. I. Stefan Golachowski — Materiały do statystyki narodowościowej Śląska Opolskiego z lat 1910 — 1939. Poznań — Wrocław. 1950).

I na tę to ziemię — od wieków walczącą o swoją polskość, od wieków utrudzoną i umęczoną — przyszła w r. 1945 — P o l s k a.

„Polska przyszła tu tak nagle i tak jakoś zwyczajnie — rozmyśla stary Wróbel, jeden z bohaterów książki Bednorza. — To tak miał wyglądać ów czas, urzeczywistniający legendy i opowiadania o rycerzach, o wojsku uśpionym św. Jadwigi, które się miało zbudzić, by oswobodzić cały Górnoślązek? Polska łączyła się u niego ze świętością i z obrazem Dobrej, Wielkiej, Przemożnej Pani; miała przyjść z graniem trąb, w aureoli królewskiej. Miała ostatecznie wypełnić wszelkie tęsknoty, jakie od stuleci narastały w piersiach umęczonemu ludowi. A tu zwaliło się zwyczajne, trudne życie, w gminie zasiedli zwyczajni urzędnicy".

Ten ciężki okres, który można by z dużą dozą słuszności nazwać ostatnim okresem próby — jest tematem powieści Bednorza.

Zamierzenie niezmiernie trudne i ambitne.

Ileż to spraw i zagadnień zagęszcza się w krótkim okresie czasu na skrawku ziemi śląskiej:

— oto dobiega kresu wielki dramat historyczny tej ziemi, ciągnący się z głębi wieku XIV;
— przeszła już zawierucha wojenna, koszmarny okres drugiej wojny światowej, ale oblicze Śląska znaczy się wciąż jeszcze zgliszczami domów i chat, a serca ludzkie nie dolą, smutkiem, goryczą...
— runął ustrój ucisku i wyzysku, rodzi się nowe, lepsze życie — ale rodzi się ono w boleściach, przezwyciężając z trudem pozostałości minionego okresu;
— ruszają fabryki, zaczynają na nowo dymić kominy fabryczne, w szkołach rozlegają się znowu głosy dzieci, koleje gnają wesoło w świat, zaczyna się wielkie dzieło odbudowy;
— ale są też szabrownicy, kanciarze, łapownicy, szkodnicy, wrogowie; pełno ich wszędzie — swoją ruchliwością i zapobiegliwością nadają wszakże dla powierzchownego obserwatora charakterystyczne piętno temu okresowi;
— ogromne w swym ilościowym i terytorialnym zasięgu migracje ludności, repatriacja, procesy osiedleńcze, wędrówki w poszukiwaniu rodzin — kształtują nowe oblicze demograficzne Polski;
— tworzenie się nowej społeczności polskiej na nowoodzyskanych ziemiach, przełamywanie uprzedzeń, płynących z niezrozumienia historii tych ziem i dziejów ludzi, co na nich z dziada pradziada mieszkali...
itd. itd. itd.

Tysiące tematów, wśród których jakże trudno przeprowadzić selekcję. Tysiące tematów, które cisną się niesfornie jedne poprzez drugie, jedne ważniejsze od drugich...

Jednym z najistotniejszych problemów dla każdego pisarza, który kusi się czy też kusić się będzie o odtworzenie rzeczywistości lat 1945 — 1946 na Ziemiach Odzyskanych — jest problem właściwego określenia tematu, problem doboru elementów. Przeciwstawić szturmowi problemów i nawałnicy motywów — świadomą swoich zamierzeń, porządkującą i hierarchizującą wolę pisarza.

W jakiej mierze udało się to Bednorzowi w powieści „Dzieci i bagaże"? Problemem centralnym tej powieści jest zagadnienie wytwarzania się w nowych warunkach nowej więzi społecznej, zagadnienie współżycia różnych grup ludności, które zespolić się mają w nowe polskie społeczeństwo. A że rzecz dzieje się na odzyskanym Śląsku Górnym — na plan pierwszy wysuwa się sprawa stosunku do ludności miejscowej, do — jak się to w owych latach mówiło — „autochtonów".

Główny wątek powieści podporządkowany jest tej właśnie problematyce. I słusznie zrobił autor umieszczając punkt ciężkości swego opowiadania w świecie dzieci. Tutaj skomplikowane procesy socjologiczne współżycia różnych grup ludności i ich zespalania się przebiegają szybciej i bardziej bezpośrednio. Tutaj nie odgrywa tak dużej roli „bagaż" przeszłości, przesądów, zawiści, zaskorupiałych mniemań, nieporozumień... Dlatego też przeobrażenie Hyjdli w Jadzię Wróblankę jest przekonywające i zrozumiałe. Hyjdlę, która na początku „sama sobie wydawała się cudza" i która zadawała sobie tragiczne w ustach dziecka pytanie „Jestżech to jo?" — żegnamy w końcu powieści Bednorza, jako Jadzię, która ostatecznie znalazła swoją drogę. W tym młodym światku jest rzeczą prostą i nie budzącą wątpliwości przemiana, jaką pokazuje Bednorz w ciągu mniej więcej rocznego okresu, od bójki na „bagrach" między miejscowymi dziećmi małochlebskimi i „tamtymi synkami" repatrianckimi i osadniczymi — do wspólnej wyprawy Jorga, Edka, Mirka i Marka na cmentarną przygodę, czy do wspólnej wesołej sanny.

Rola szkoły, zabawy, przygody, piosenki — jako czynników przekształcających trwale dziecięcą społeczność, zespalających ją w nową organiczną całość — ukazana została w powieści Bednorza żywo i przekonywająco.

Trzeba też i to zaznaczyć, że strony poświęcone dziecięcemu światu i jego sprawom zaliczyć można w ogóle do najlepszych w powieści Bednorza. Jest w nich jakaś Twainowska świeżość i werwa. Krąg spraw i ludzi „miejscowych", z dawien dawna małochlebskich mieszkańców — ich zetknięcie się z nową rzeczywistością, ich krzywdy, gorycze, zawody i smutki, ich trudna droga do porozumienia z przybyszami na te ziemie — repatriantami, osadnikami, administracją — to druga grupa zagadnień, które w książce Bednorza noszą akcent rzetelnej prawdy. Ludzie miejscowi stają się nam bliscy, rozumiemy ich sprawy, rozumiemy ich rację, gdy mówią o swych krzywdach na zebraniu u starego Wróbla, wyczuwamy, że ich ustami przemawiają do nas wieki historii Śląska, przemawiają „chropawymi i grubymi słowami", językiem „dalekim od współczesnej literackiej polszczyzny"...

I to zaliczyć należy w poczet naj większych zasług tej książki.

Natomiast poważnym brakiem obrazu, który nam daje Bednorz, jest pominięcie drugiego zasadniczego — obok szkoły — elementu narastania więzi społecznej na Ziemiach Odzyskanych — p r a c y. Warsztat pracy, troska o jego uruchomienie, kształtowanie się nowego stosunku do społecznej własności odebranej kapitalistom i wyzyskiwaczom, przezwyciężanie trudności okresu odbudowy, pierwsze sukcesy produkcyjne, bezpośredni i żywy związek człowieka z miejscem i wynikami jego pracy— wszystko to było w procesach społecznych dokonywających się na Ziemiach Odzyskanych już od pierwszego okresu elementem zespalającym o pierwszorzędnym znaczeniu. Tymczasem Bednorz pokazuje nam swych bohaterów — p o z a p r a c ą. W związku z tym zapewne o przemianach społecznych przeorywających do gruntu naszą rzeczywistość, o siłach twórczych wyzwolonych przez rewolucję — tych siłach, bez których wielkie dzieło zaludnienia i zagospodarowania Ziem Odzyskanych jest nie do pomyślenia — bohaterzy „Dzieci i bagaży" mówią nieraz stylem artykułów wstępnych i przemówień.

Mimo zaakcentowania — i to wyraźnego — grupy zasadniczych tematów, nie zdołał się Bednorz ustrzec w pełni od „pokusy tysiąca tematów". Stąd obok zasadniczych wątków — nagromadzenie licznych pobocznych motywów, zaprzątających uwagę autora i czytelnika, jak sprawa Lotti Mitzner czy sprawa tajnej organizacji hitlerowskiej romantycznie oplatająca się wokół tajemniczego zamku i cmentarza.

Inna rzecz, że słabości autora wobec „pokusy tysiąca tematów" zawdzięczamy również i niektóre kapitalne. tryskające życiem stronice, jak np. opis „wolnego handlu" czy „portret szabrownika" („Człowiek ów miał na ramieniu elektryczny odkurzacz. Stojąc w rozkroku, kolanami przytrzymywał duże pudło maszyny do pisania, a może patefonu, o koszna odpadki oparł ramę rowerową, do której przywiązany był elektryczny, lśniący czajnik").

***

Zamykając książkę Bednorza, mamy wrażenie, że pożegnaliśmy gromadę dobrych znajomych i przyjaciół, z którymi warto się jeszcze w życiu spotkać.

Do widzenia, Hyjdlo... nie! Jadziu! Do widzenia, starzyku! Do widzenia, Halino! Do widzenia, Staszku Skorenko! Spotkamy się jeszcze, spotkamy na pewno — na wyższych uczelniach, w fabrykach, szkołach, na budowach — przy pracy. Spotkamy się w Warszawie i Wrocławiu, Białymstoku i Kielcach, Bytomiu i Gliwicach, w Stalinogrodzie i Małych Chlebach. Przyjemnie będzie nam pogwarzyć, jak to „zapisywały się karty odzyskanego życia sprawami wielkimi i małymi. Na tle bólów i trosk — zabawy dzieci". A potem uśmiechniemy się do siebie — mocny uścisk dłoni — i dalej, każdy do swojej pracy...

*) (Na marginesie książki Zbyszka Bednorza p.t. „Dzieci i bagaże". Wydawnictwo „PAX". Warszawa 1953).

Leszek PROROK

K R E W

1.

ODKĄD zacząłem aplikować w sądzie, wracam do domu przez park. Często, gdy sesja przeciągnie się i dążę cienistymi alejami później niż zwykle, spotykam tam pana Seweryna Łaszcza z Lucynką. Nie było chyba wypadku, żebym nie przystanął i nie pogawędził z nimi, choćby przez chwilę. Zawód prawnika nie usposabia do optymistycznych przekonań o naturze ludzkiej. Za to żywy finał historii, która rozegrała się w mych oczach, drobnej wprawdzie w chaosie spraw, jakie od tamtej pory poznałem, ale dziwnie jasnej, działa na mnie zawsze jak orzeźwiający natrysk.

Łaszcz lubi rozmawiać. Chętnie wspomina czasy, gdy mieszkałem u niego razem z Frankiem Wlazło. Zawsze pyta o Franka, z którym koresponduję, o ile czas pozwala. Prosi, bym pozdrowił doktora w imieniu ich obojga. Mocno wreszcie wątpię, czy Lucynka pamięta człowieka, któremu zawdzięcza znajomość ze swym poważnym przyjacielem. Wszak Franek wyjechał na Pomorze zaraz po dyplomie, a Lucynka liczy dziś dopiero cztery latka.

A więc przypominają mi Franka... Ilekroć myślę o tym niewyczerpanym żartownisiu i wiernym kompanie, widzę najpierw olbrzymie, odstające uszy. Zupełnie takie same miało słoniątko znad rzeki Limpopo, jak je uwieczniono na rysunku w książce Kiplinga. Tylko, że zwierzakowi rysownik dodał żartobliwe spojrzenie, zaś Franek rozśmieszał zawsze grobową powagą, utrzymaną nawet w najweselszych sytuacjach. Nadto uwielbiał dowcip surrealistyczny, odległy, jak się domyślam, od upodobań słoniowego rodu. Zresztą wśród ludzi też nie każdy go znosi.

Bywało w uniwersyteckich czasach — idziemy przez ten sam park. Niebo pogodne, bez chmurki. Franuś rozejrzał się dokoła, rozdął chrapy nosa i naraz rzuca złowieszczo.

— Będzie deszcz.

— Skąd wiesz — pytam zaintrygowany, gdyż nic w powietrzu na to nie wskazuje.

— Jamniki nisko latają! — oznajmia z grobową miną, patrząc na zmyślną karykaturę psa, która toczy mu się pod nogi szparkimi kroczkami.

Wlazło pamiętał mnie z gimnazjum, choć ukończył je dwa lata wcześniej, jeszcze w czterdziestym piątym. Za zgodą Łaszcza udzielił mi gościny w swym pokoju, gdy, świeżo upieczony student-prowincjusz, znalazłem się na poznańskim bruku. Na liście w bramie kamienicy jako główny lokator figurował pan Seweryn. W kilku wielkich pokojach na pierwszym piętrze kłębiła się dziwaczna mieszanina charakterów, upodobań, przywar i zalet, dialektów dzielnicowych i zawodów. Przez długi czas myliłem się w klanach rodzinnych, które rozbiły swe namioty za kolejnymi drzwiami mrocznego korytarza.

Początki nie były zachęcające. Franek przedstawił mnie nominalnemu gospodarzowi lokalu. Nazajutrz spotkaliśmy się w kuchni przy gazie. Pan Seweryn spojrzał na mnie jak przebudzony ze snu.

— Kto pan jest? Co pan tu robi?

Zaskoczony przypomniałem mu wczorajszą prezentację. Wzruszył ramionami i chwycił garnczek z kawą nagle, jak w złości. Słyszałem jeszcze, jak mruczał idąc do drzwi: — Znów człowiek. I poco nas tylu? Ech...

2.

KIM był Seweryn Łaszcz? Wdowiec, z zawodu kreślarz... Tyle to mówi o człowieku, co nazwa nieznanej stacji o krajobrazie. Wyglądał na abnegata, zachowywał się jak dziwak. W gruncie rzeczy był człowiekiem złamanym przez wojnę. Zaniedbanie wyglądu, odzienia i trybu życia powstało wyraźnie z nadmiaru, a nie z braku czasu. Przygnębiało każdego, kto śledził je dłużej. Zwalista postać pięćdziesięciokilkuletniego mężczyzny była równie posępna jak jego mieszkanie. Mroczny korytarz z okienkiem na studnię z brudno-szarej cegły potrafiłby niejednego przyprawić o melancholię. Łaszcz snuł się tędy jak niepotrzebne nikomu wspomnienie. Ożywiał się rzadko. Gdy to nastąpiło, gałki oczne, zlekka wysadzone, pływały niespokojnie pod szkłem okularów, niczym bańki powietrza w poziomnicy. Czoło, dzięki głębokim rozpadlinom zmarszczek, odcinało się wyraźnie od jajowatej łysiny.

Sąsiadowaliśmy z jego pokojem. Na długo przedtem, nim zdawkowe słowa przelotnych spotkań przerodziły się w strzępki serdecznych wynurzeń, wniknęliśmy w to życie, przesycone samotną rozpaczą. Stało się to dzięki wymowie sygnałów, jakie dochodziły z łatwością przez cienką ścianę.

Łaszcz rzucał się w samotność z determinacją topielca-samobójcy. Coś z buntu tkwiło w gwałtowności, z jaką człowiek ten, starszy niż głosiła metryka, zatrzaskiwał za sobą każdego popołudnia drzwi od świata. Zabieg ten strząsał z nich codzień pożółkłe odpryski lakieru. Nerwowe skrzypnięcia sprężyn, wtórujące niespokojnym ruchom, mąciły naukę. Odkładałem skrypt i łowiłem dźwięki. Tylko Franek, nieczuły na otoczenie, mógł z jednakim spokojem wkuwać anatomię.

Nietrudno wyobrazić sobie, co działo się w tamtym pokoju. Całe wieczory spędzał Łaszcz leżąc w ubraniu na zasłanym łóżku naprzeciw starego zegara. Zmrok coraz śmielej panoszył się w mieszkaniu. Kreślarz niewidzącymi oczyma wpatrywał się w białawą tarczę, jedyny uchwytny zarys w morzu gęstniejącej czerni.

Samotność, uporczywa, programowa samotność, to wielogodzinne zajęcie Łaszcza. Pielęgnował je z beznadziejną rutyną. Doszedł do stanu, w którym przestało się czegokolwiek wymagać od ludzi. Podcina to z miejsca zainteresowanie nimi, rodzi tę wspaniałą obojętność wobec faktu, że mosiężny talerzyk wahadła rozmigotał się mdłym odblaskiem dalekiej latarni, a duża wskazówka opada coraz niżej. Metaliczne uderzenia nie dźwięczą przypomnieniem, że trzeba iść dokąd bądź, czy kogoś oczekiwać. Czasem zrywał się z łóżka nagle, jak opętany i biegał dokoła stołu, rzucając zapewne jakieś nienawistne słowa, których nie mogliśmy rozróżnić.

Kim jest Łaszcz? Dlaczego tak się zachowuje? Odpowiedź, której nie mógł mi udzielić Franek, zawdzięczam Pelagii Łuczakowej, lokatorce z ostatniego pokoju. Gderliwa prasowaczka pralni mechanicznej „Ekspress" znała Łaszczów przed wojną. Lubiła przy lada okazji ucinać sążnistą rozmówkę. O panu Sewerynie mówiła zawsze z zatroskaną sympatią.

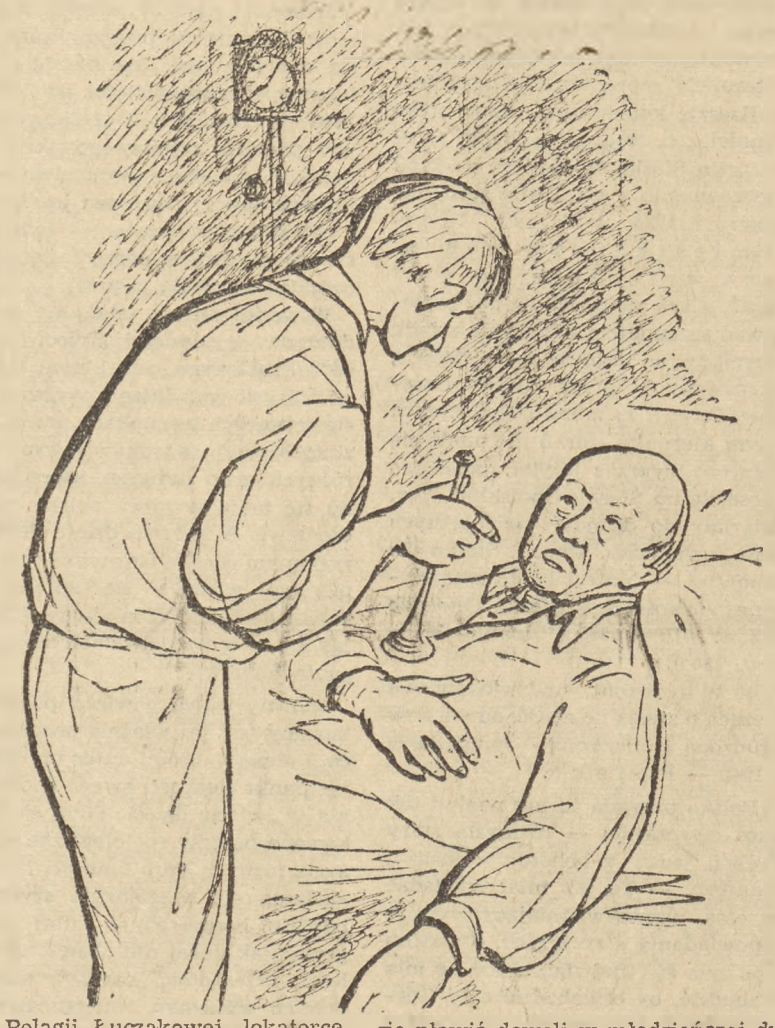

Okazało się, że Łaszczów wysiedlono z Poznania w czasie pierwszych rug hitlerowskich. Wylądowali w Warszawie. Pan Seweryn znalazł pracę, a później uruchomił nawet własny warsztacik introligatorski. Przez kilka lat omijały ich niebezpieczeństwa i niedole; tragedię przyniosło dopiero powstanie. Wyrzutki społeczeństw środkowej Europy, przyhołubione pod czarnymi skrzydłami dywizji SS, szalały na osławionym Zieleniaku. Łaszczowa, zgwałcona kilkakrotnie na oczach męża, niedaleko uszła w warszawskim exodusie. Rozchorowała się, a komplikacje przyspieszyły zgon. Po wyzwoleniu Łaszcz wrócił sam.

— Taki zmarnowany był, że aż przykro patrzeć. A cienciejszy jak przed wojną — użalała się Łuczakowa. — I zaraz się taki zrobił, jakby dostał do głowy. Pracował niby to zwyczajnie, ale potem zamykał się w pokoju i ani przystąp. O żonie słowa nie pozwolił wspomnieć. Cośmy się z moim nabiedzili, żeby go rozruszać i nic z tego — machała ścierką na dowód koniecznej rezygnacji. — Żeby choć dzieci miał, możeby się odmienił. A tak ani dziecka, ani rodziny, sam jak ten palec... I tak już dwa lata cięgiem trwa.

— Inny to by się w końcu pocieszył — nawiązała do tematu drugim razem. — Mężczyźnie zawsze łatwiej... Mógłby się jeszcze ożenić. Nie jest taki stary. Ale on nie z takich. Bardzo żonę kochał. A ładna była i młoda... Pamiętam jak dziś.

I oto miałem klucz do zrozumienia buntu, jako drgał w samotniczym milczeniu. Wojna nie dawkowała Łaszczowi przejść. Koniec żony nastąpił jak nagły szok. Uraz jego hańby trwał żywy i nieosłabiony. Kto z poddaniem przyjął śmierć bliskiego, może się przecież buntować przeciw jej rodzajowi. Podświadomie pragniemy, by narodziny nadchodziły w radosnej prostocie, śmierć — w majestacie, chociażby skromnym majestacie rodzinnego kręgu. Wszystko, co jest poniżej, co bruka patos ostatniego zdarzenia w życiu, staje się krzywdą, jaką los wyrządza godności tych, którzy pozostają. Krzywdą taką żaliły się wieczorami w sąsiednim pokoju sprężyny łóżka. Szarpała je rozpacz, żal, wstręt i beznadzieja. Skądinąd świadczyło to, że przedwczesna starość Łaszcza, nie doszła jeszcze do stanu pustki, jaki następuje, gdy roztrwonimy energię i wyschną pragnienia. Pustka jest bezpłodna. Nie rodzi niczego — nawet buntu

3.

ZBLIŻYŁO nas zdrowie Łaszcza. Stale niedomagał. Przez długi czas lekceważył bóle głowy i w piersiach. Wspominał o braku snu i dusznościach. Franek mógł się pławić dowoli w młodzieńczej dumie pierwszej diagnozy. Na terenie mieszkania był bezspornym autorytetem wiedzy medycznej. Praktyka stanowiła domenę Łuczakowej, która zachwalała jakieś kompozycje ziół i bąkała coś o pijawkach.

Franek wypytywał skrupulatnie o wszystkie objawy, po czym wertował grubą diagnostykę. Nie ulegało wątpliwości — ostry przypadek nadciśnienia. Ale Łaszcz za nic nie chciał słyszeć o wizycie u lekarza. — A po co? Nie warto... Doprawdy, moi drodzy, już nie warto...

Wobec tego Wlazło dyktował dietę i ograniczenia w trybie życia. To ostatnie trudno zresztą było bardziej ograniczyć. Co najwyżej należało życie to uporządkować. Łaszcz słuchał i kiwał głową z tą dobrotliwą odmianą pobłażania, jaką rezygnacja chętnie okazuje cudzej pewności. Drażnił tym kłapoucha, który zaczął pracować jako laborant na stacji krwiodawstwa i odbywał już pierwsze kliniki.

Razu pewnego w sąsiednim pokoju jęknęły wszystkie sprężyny naraz. Zabrzmiało to jak dysonansowy akord.

— Coś się stało — rzucił mój towarzysz, zatrzaskując książkę. Nigdym go nie posądzał o taką czujność podczas nauki. Skoczyliśmy do drzwi.

— Wejść, czy nie wejść? Jeśli to nic — gotów się obrazić.

Na pukanie nikt nie odpowiadał, więc wtargnęliśmy do środka. Upłynęła chwila, nim namacałem kontakt. Łaszcz leżał na łóżku z przekrwioną twarzą. Franek krzyknął o wodę. Gdy wróciłem z Łuczakową i z dzbankiem, pan Seweryn, oparty już plecami o porecz łóżka, przychodził powoli do siebie. Czerwień policzków zapadała się w głąb za każdym pełniejszym oddechem. Na nasz widok usiłował unieść brwi, nawisłe ciężko nad powiekami.

— Już nic, nic. Już przechodzi...

Zdarzenie to zapoczątkowało odmianę stosunków. Łaszcz zaczął zaglądać do naszego pokoju, dawał się nawet wyciągać na pogwarki. Franek Wlazło zaciągnął go po niemałych trudach na swą stację, gdzie okazało się, że ciśnienie pana Seweryna sięga niepokojącego poziomu dwustu czterdziestu. Samotnik, oszołomiony nowym otoczeniem, pozwalał wyrabiać ze sobą wszystko, co uprzednio ukartował Franek. Miejscowa lekarka namówiła go bez większego trudu do upustu krwi. Łaszcz poczuł nawet do niej sympatię. Twarze o włosach zebranych równo i gładko zasługują na zaufanie. Nikt nie przewidział tylko, że w czasie zabiegu kreślarz odwróci głowę, choć mu srogo zakazywano, i na widok rubinowego płynu, który powoli wypełniał naczynie, znów popadnie w omdlenie. Doktór Anka, pełna pobłażania, pocieszyła go, że zdarza się to nawet najodważniejszym mężczyznom.

Po upuście pan Seweryn poczuł się znacznie lepiej. Większość objawów ustąpiła, co złagodziło poniekąd przykre wyskoki jego charakteru. Zdecydował się powtarzać zabieg co dwa, trzy miesiące. Ponieważ ja też z namowy Franka zostałem w owym czasie krwiodawcą, rozpostarła się przed nami płaszczyzna wspólnych zainteresowań. W panu Sewerynie zaczęła nurtować ciekawość medyczna. Starość pielęgnuje ją zazwyczaj ze szczególnym upodobaniem. Interesował go dalszy los własnej krwi. Zużywano ją do badań laboratoryjnych. Szczególnie jednak zaintrygowała Łaszcza wiadomość, że posiada rzadką właściwość krwi, cechę — Rh. Erha minus — skandował dobitnie kłapouch. Sąsiad nasz przeląkł się, że oznacza to nową chorobę. Była to jednak właściwość normalna, rzadka i niezwykle cenna w lecznictwie zaburzeń ciąży i niemowlęctwa. Franek entuzjazmował się badaniami w tej dziedzinie. Wydało mi się, że i Łaszcz okazał coś w rodzaju dumy ze swej tak wyjątkowej pozycji w naturze.

4.

NIE mogę powiedzieć, by wspomnienia, jakie budzą we mnie spotkania Łaszcza i Lucynki, układały się w ciągłe pasmo zdarzeń. Składam z nich raczej kolekcję pocztówek, niż taśmę filmową, którą w archiwum pamięci zwija każdemu własne życie.

Najczęściej określa się dziś człowieka przez zawód. Lecz pigułka charakterystyki w jednym, łatwym słowie bywa często zawodna. Wymowniejsze niż zawód bywają zamiłowania. Przynajmniej tak było z Łaszczem.

Wielką życiową pasję kreślarza stanowiła artystyczna oprawa książek. Dzięki niej przetrwał wojnę. Potem powrócił do kreślarstwa i wykonywał zlecone prace dla miejskiego nadzoru budowlanego, lecz je lekceważył. Lubił za to mówić o oprawach.

— Nie ubranie zdobi człowieka, ale eleganckie ubranie — mawiał Łaszcz. — Z książką, widzi pan, jest zupełnie tak samo. Dopiero okładka nadaje wykwint dziełu.

Każda branża hoduje takie zwięzłe sentencje na użytek zawodowej godności. Rozwija je, jak średniowieczne cechy sztandar przed własnym ołtarzem.

— Ja właśnie obmyślałem nowe mody dla książek — przebierał palcami w powietrzu, tak jakby muskał grzbiet jakiegoś tomu. — Dawniej nie, bo oprawiało się tylko dla siebie. Najwyżej jedną, dwie książki w miesiącu. Ale w Warszawie... — Tu zaczynał się długi wywód o pięknej sztuce introligatorstwa i o tajnikach łaszczowego warsztatu. — Wiele osób zamawiało wtedy ładne oprawy z deseniami i rysunkami na wierzchu. Jedni lokowali w tym pieniądze. A byli też amatorzy. Ostatni grosz wydał na oprawę, a potem i tak wszystko z dymem poszło.

Rozpytywałem ciekawie o szczegóły zdobienia, o to, jakie książki oprawiał. Pan Seweryn miłował nie tylko szatę, lecz i zawartość. Korzystał z niej, jeśli czas zezwalał. Wyznał ze skruchą, że nieraz przewiekał oprawę ciekawszych tomów.

— Każdemu umieszczałem w rogu jego własny znak. Taki introligatorski ekslibris. A zawsze coś w związku z zawodem. Klienci to lubili — jak kobiety oryginalne broszki.

Z ostatnią książką przed powstaniem miałem kłopot. Przyszedł jakiś leśnik. Przyniósł historię starożytnego Rzymu. Ile się nabiedziłem, żeby mu dogodzić. Nic mu się nie podobało. Aż w końcu wytłoczyłem piękną szyszkę sosnową. Złota, na zielonkawej skórze. Bardzo ładnie wyszła.

— Kręcił w zamyśleniu guzik naderwany z kawałkiem materiału. Zgarbiony na krzesełku, z nogami podsuniętymi pod siebie, zmalał. Sprawiał wrażenie kogoś, kto jest zawstydzony swoim wzrostem.

— Właściwie to nie był mój, ale żony pomysł... — Zauważył to i zaraz zmarkotniał. Starałem się naciągnąć rozomowę pytaniami, jak zerwaną sieć rybacką. Łaszcz nie odzyskał humoru. Nie chciał czekać na Franka i wycofał się do siebie, gdzie znów wziął go w objęcia spleśniały odór zakurzonych sprzętów. Tego wieczora sprężyny jęczały boleśniej niż zwykle. Przewracał się długo, nim go sen ukoił.

5.

BYŁO to chyba już w czterdziestym ósmym, jesienią. Wracam z wykładu wczesnym popołudniem i, o dziwo, z ulicy widzę Łaszcza, wspartego o parapet okna. Cóż to za święto? Normalnie nawet sobie nie wietrzył. Czyniła to Łuczakowa przy sprzątaniu. Głowę miał lekko zadartą, co masywnej postaci nadało wyraz buńczucznej pychy wodzów, którzy rozpętali wojnę i sami w niej padli. Poszedłem za jego spojrzeniem. Z komina przeciwległej kamienicy buchał gęsty dym.

Łaszcz nie zauważył ukłonu. Zawołałem wesoło, że niełądnie jest nie dostrzegać znajomych.

— Ja pana bardzo przepraszam — tłumaczył później na górze z powagą, która przerastała znacznie ten drobiazg — jak widzę taki dym, to często myślę o jednym chłopcu...

Wiedziałem już, że nie należy przeszkadzać, gdy zacznie grzebać w dawnych sprawach. Można go było spłoszyć. Obojętnie rozkładałem zeszyty, a Łaszcz przysiadł na kanapce. Nieogolona twarz przypominała włochaty kłębek czarno-siwej włóczki. Sprawę nizał powoli, jakby musiał rozplątywać jakieś węzły. W skrócie wyglądało to tak:

Kiedyś Łaszcza wzruszył i zachwycił mały chłopczyk, o którym nic nie wiedział. Było to przed wojną. Jechał do krewnych na święta. Ostatni etap drogi przebywało się archaiczną kolejką. Wagoniki zatłoczyła publiczność świąteczna. Zmachany samowarek kroił pola, ustając w zadyszce na niewielkich wzgórkach. Łaszcz siedział tyłem do kierunku jazdy — naprzeciw niego kobieta z chłopczykiem. Malec huśtał nóżkami i zanudzał matkę pytaniami, które rozweselały cały przedział. Wreszcie odwrócił się do okna, ledwie doń sięgnął brodą, i rozpłaszczył o szybę rezolutny nosek. Lokomotywka wytężała właśnie wszystkie siły, by wdrapać się na niewielkie wzniesienie. Z komina walił bury dym i odbiegłszy od toru kładł się na nagie pola. Wzdłuż pociągu rozwinęła się falująca zasłona. Jedynie jej górna krawędź zachowała kształty kulistych, poduszkowatych obłoczków; odpowiadały kolejnym wydmuchom strudzonego komina. Mały śledził ruchomą ścianę z łakomym zaciekawieniem. Wciskał twarzyczkę w szybę, by dojrzeć, jak świeże kłęby wykwitają nad samowarkiem. Po dłuższej chwili odwrócił się do matki z żalem.

— Mamo! Jak ja bym chciał jechać na dymie... Jakbym ja chciał...

Smętek ostatnich słów dźwięczał nutką dojrzałej świadomości granic, jakie dzielą pragnienie i możność Wstrząsnął Łaszczem jak nagłe wtajemniczenie w nieznaną prawdę. Po latach jeszcze błahe wspomnienie barwiło cichy głos introligatora-artysty wzruszeniem, gdy kończył się usprawiedliwiać z nieuwagi.

— Chciałbym bardzo spotkać jeszcze raz to dziecko. To jedno może... Tylko cóż... Teraz już z niego młodzieniec. Lata szybowcem, samolotem. Zapomniał dym samowarka. Pewno ja go tylko pamiętam...

Tamten chłopiec był poetą. Tegi kawał poety tkwił również w panu Sewerynie. Umiał się zachwycać i lubił dzieci.

6.

FAKT, który zapoczątkował nową epokę w życiu Seweryna Łaszcza, nastąpił podczas naszej nieobecności. Wyjechaliśmy obaj na święta Bożego Narodzenia. — Gdyby można staruszka namówić na wspólną wilię, słowo daję, zostałbym — zaklinał się Franek. Jednak doświadczenia ubiegłych lat mówiły że w czasie świąt Łaszcz jeszcze bardziej odgradza się od świata. Nie zapala światła i nie odpowiada na pukanie czy dzwonki. Gdy u kogoś zacznie się huczniejsza zabawa, narzuca palto, zbiega na dwór i godzinami błądzi po odludnych i ciemnych ulicach. Wypatrzył to Łuczak

N I A C Y

W Sylwestra Łaszcz miał wizytę. Przyjechał lekarz ze stacji krwiodawstwa i po dziesięciu minutach wysiłków dostał się do samotni za lakierowanymi drzwiami.

Potrzebowano krwi Łaszcza. W szpitalu dziecięcym czternastomiesięczna dziewczynka traciła ostatnie siły w skazie krwotocznej. — W tej chwili mamy tylko pana jednego z ujemnym Rh i tą samą grupą krwi— usprawiedliwiał intruz swój najazd. Łaszcz słuchał z niewiarą i długo nie mógł pojąć. Jakto? Krew, która groziła jego zdrowiu, uderzała do mózgu zapowiedzią końca, mogła się komuś przydać? Lekarz dalej rozwijał argumentację.

— Już dawno nie braliśmy upustu. Mógłby pan bez szkody oddać 400 centymetrów. Zaraz wezmę próbkę— do jutra zbadamy Wassermana.

Pan Seweryn żachnął się na to w oburzeniu, którego resztki dotrwały do naszego powrotu. Cóż oni sobie w ogóle myślą? Lekarz rozłożył ręce. — Taki przepis, sprawdzamy w każdym przypadku. Pierwsza transfuzja odbędzie się jutro. Nie można dłużej czekać, choć święto.

Kołowrót niebywałych dla Łaszcza wydarzeń potoczył się tak szybko, że odwrócił jego uwagę od coświątecznej udręki. Gdy nazajutrz wnętrza kościołów rozbrzmiewały radosnymi melodiami kolęd, pan Seweryn maszerował na czczo do szpitala przy ulicy św. Józefa. Zadyszał się na zaśnieżonych chodnikach, gdyż tego dnia tramwaje nie chodziły.

W ciszy szpitalnych korytarzy załamuje się szelest trwożnych zapytań i pociecha pełna nadziei. Introligatora budynek ten napawał odrazą i bólem. Wszak żona jego zgasła w zatłoczonej salce szpitalnej podwarszawskiego miasteczka.

Gdy go ułożono na prześcieradle w ruchomym wózku, gdy przywiązano ramiona, zaczął dygotać. Lęk ustąpił dopiero po przywiezieniu dziecka.

— Taki nieruchomy gruzełek ciała w bandażach. Niewiele było widać — usłyszeliśmy pierwszego wieczora po powrocie. Gestami dodawał mocy wyrazom i raz po raz ratował okulary przed upadkiem, co oznaczało, że jest przejęty jak nigdy. — To straszne! Buzia sina, jak czasem stare deski... Myślałem, że nie żyje i już chciałem krzyczeć, że to zbrodnia, bo przecież ja mogłem od razu, wczoraj. Ale siostra położyła palec na ustach. Sami mówili szeptem, bo było bardzo źle.

— Ile przetoczyli? — fachowo spytał Franek.

— Zdaje mi się, że sto centymetrów. Trwało może pół godziny. Co za uczucie, moi drodzy. Pojęcia nie macie. Czuję, jak moja krew napręża gumową rurkę, przeciska się przez pompkę i idzie tam... Zupełnie jak przez, przez... — zbrakło mu wyrazu.

— Jak przez pępowinę, czy tak?

Łaszcza uderzyła trafność porównania i widoki dalszych skojarzeń. W milczeniu odchylił rękaw i pokazał na zgięciu łokcia ledwo widoczny ślad nakłucia.

— To stąd!

— A gdzie dziecku wprowadzili igłę. Też w ramię?

— Nie. W główkę. Nad uchem. Tam nie można było żyły znaleźć Myślałem, że się rozpłacze, a ono nawet nie jęknęło. Nie miało siły. W połowie doktór przerwał. Zaczęło tak dziwnie stękać. Mój Boże! Takie zniszczone jak starzec w chorobie. To straszne. Panie Franciszku, skąd się bierze ta skaza u dzieci?

Wlazło wystąpił ze zwięzłym wykładem. Łaszcz wiedział już, że ma krew oddawać co cztery dni, o ile lekarze stwierdzą jakiś efekt.

— ...Potem dziecko zabrali, a mnie wywieźli na korytarz. Jakaś kobieta rzuciła się całować mnie po rękach. Nie mogłem ich cofnąć, jeszcze były przywiązane. Płakała i krzyczała: — Niech pan ratuje Lucynkę! Na miłość boską, niech pan ratuje Lucynkę! — Ja przecież z całego serca, tylko co ja tam...

Ostatnie słowa powiedział do nas z uśmiechem pełnym tak ujmującego zawstydzenia, że najbardziej dzikiej i posępnej twarzy potrafiłoby nadać uroczysty wygląd ofiarnego ołtarza. A przecież twarz Łaszcza, z przydługim ogórkowatym nosem i spękaną skórą na kościstych policzkach, była — skoro z niej tylko odgarnął gęsty welon melancholii — obliczem dobrego człowieka.

7.

NIE poznawaliśmy sąsiada samotnika. Stał się naraz ruchliwy i nie wracał z biura do domu. Umilkła mowa sprężyn.

Od Łuczakowej wiedzieliśmy, że nazajutrz po transfuzji oblegał szpital, by dowiedzieć się, czy jest poprawa. O zobaczeniu dziecka nie było mowy. Lekarze sami nic jeszcze nie wiedzieli, nawet matki nie dopuszczono. Jedyną zdobyczą, którą Łaszcz przyniósł z ulicy św. Józefa, było nazwisko Lucynki. Ojciec jej, Kowalczyk, był kolejarzem, pracował jako nastawniczy.

Franka na stacji krwiodawstwa powitano wiadomością, że jego protegowany zagląda tu codziennie. Jest pełen wątpliwości, czy może pić mocną herbatę, czy może jeść ostrą potrawę, gdyż za kilka dni czeka go nowa transfuzja. W zaufaniu oznajmił doktór Ance, że na czas kuracji Lucynki zmienił jadłodajnię. — Strasznie dużo octu leją teraz do zupy— wyjaśniał z przejęciem; — w jarskiej można zamawiać obiady dietetyczne. Tak chyba będzie lepiej. — Krew Łaszcza miała być w ciągu dwu tygodni czystsza niż najszlachetniejsze wino. Klarowna co najmniej tak jak matczyna łza. Młodzi laboranci żartowali między sobą z pana Seweryna, lecz był to ten rodzaj żartów, którym młodzież chętnie owija wzruszenie, by uniknąć posądzenia o miękkość uczuć.

Po drugiej transfuzji Łaszcz wrócił zrozpaczony. Lucynka wciąż leżała bez życia. Powieki unosiła z trudem, jak ramiona obarczone ciężarem.

— Nic już nie warta moja krew. Gdybym był młodszy... — rozpaczał Łaszcz — Co robić, co robić?

Biegał jak zwierzę w klatce od ściany do ściany i nie krępował się tym, że potrąca raz po raz stół, na którym dzwoniła skromna zastawa studenckiej kolacji.

Na trzecią transfuzję zaciągnął mnie do szpitala. Oddawałem kilka razy krew w Przemienieniu. W dziecinnym nie byłem jeszcze ani razu.

Łaszcz wyjechał na wózku rozpromieniony.

— Słuchaj pan, jest lepiej! Lepiej! Już zaczyna się ruszać. Ożywiła się.

Siostra odwiązywała becik z dzieckiem z żelaznego krzyżaka, na którym unieruchomiono je na czas zabiegu. Dali je na chwilę potrzymać Łaszczowi.

Był wstrząśnięty. Taka kruszynka, gdy on sięgał głową niemalże górnej krawędzi drzwi. Nadziwić się nie mógł, że w tych żyłeczkach, niewyraźnych jak lekkie kreski ołówka na atłasie, płynie krew, która niedawno dzwoniła mu w uszach i rozsadzała pierś. Zachwycony, że napoił gasnący organizm, przypominał mi pelikana, co rani pierś, by nasycić młode krwią. Śmieszny, oskubany pelikan.

Kowalczykowa, niewysoka kobiecina poszarzała od troski, wbijała głodne spojrzenie w zwój pościeli, który zafalował naraz jakimś naprężeniem ciała.

Lekarz o wyglądzie zażywnego szlagona i jowialnym uśmiechu klepał pana Seweryna poufale po ramieniu i mówił do matki: — Dobra krew! Oho, przedniego, panie, gatunku. — Napełniał staroszlachecki zwrot zupełnie nową treścią.

Bieganina po zaśnieżonych ulicach nie uszła Łaszczowi bezkarnie. Dziesiątego stycznia odczuł dreszcze i łamanie w kościach. Przybiegł do nas z samego rana z zapytaniem, co będzie.

— Nic nie będzie — uciął Wlazło. — Jeśli to grypa, z przetoczenia kwita. Dokończy kto inny, o ile znajdziemy drugi erha minus w tej samej grupie krwi.

Łaszcz spojrzał na mego przyjaciela, jak na któregoś ze sługusów Heroda.

— To niemożliwe. Moja krew dziecku pomaga. Będę dawał do końca!

Rada w radę zapakowaliśmy pana Seweryna do łóżka. Łuczakowa od rana napaliła w piecu i zaaplikowała choremu potężną porcję herbaty z malinami. Franek zobowiązał się wypytać lekarzy o wszystkie warianty sytuacji. — Tylko pamiętajcie, że wrócę dopiero o dziesiątej wieczorem. Mam dziś bieganiny, jak nigdy.

Zrazu pan Seweryn leżał spokojnie i posłusznie się pocił. Od południa był nie do wytrzymania. Co kwadrans stukał kijkiem w ścianę i żądał, by telefonować do Franka, to znów, by dowiedzieć się na św. Józefa, co nowego. Zmusił też nieznośnego Olesia Łuczakowej do wynalezienia w szafie matki malin. Naparzyłem mu nową porcję.

Zbliżała się dziesiąta, a Franek nie wracał. Rozgrzany Łaszcz wyglądał jak indyk na patelni, skwierczący we własnym sosie.

— To niemożliwe, żebym się rozchorował. Mamy jeszcze trzy dni czasu.

Kazał sobie podać kalendarz.

— Niechby po trzynastym. Zniosę nawet zapalenie płuc. Gdzież się ten Wlazło zapodział?

Zegar Łaszcza skrzypiał starczo, bijąc dziesiątą. Franka wciąż nie było. Chciałem coś przeczytać choremu. Wciąż przerywał fantastycznymi domysłami. Fakt, że Franek mógł wlecieć pod tramwaj czy auto, był drobiazgiem w porównaniu do następstw, jakie pociągnęłoby to za sobą w leczeniu Lucynki. A może Wlazło dowiedział się rzeczy nieprzyjemnych i boi się pokazać Łaszczowi na oczy. A może coś się dziecku stało i na stacji już o tym wiedzą?...

Po północy zacząłem się niepokoić. Tak późno towarzysz mój na ogół nie wracał.

Wreszcie klucz zachrobotał w drzwiach wejściowych. Biła pierwsza, gdy kłapouch zajrzał do pokoju pana Seweryna. Twarz miał dziwnie

rozradowaną i wypieki na policzkach.

— Jak panu nie wstyd... — trudno było zmieścić więcej wyrzutu w kilku słowach.

— Przecież jestem, jak mówiłem— łypnął ku mnie okiem jak kiplingowskie słoniątko. Chory uniósł się na poduszce.

— To ma być dziesiąta? Niech pan spojrzy na zegar.

— Widzę. Właśnie bije.

— Ale raz, a nie dziesięć.

— A jak pan chce, żeby on zero wybił?

Taki był Franek Wlazło. Organicznie nie znosił wymówek i parował je bez litości.

Sama sprawa przedstawiała się nienajgorzej. Było dziś Wilhelminy, a na stacji znalazła się jedna przedstawicielka tego imienia. Solenizantce sprawiono składkową fetę, która potrwała do północy. W tym czasie Franek przeprowadził ankietę w sprawie grypy, a kolega farmaceuta przygotował proszki nieszkodliwe dla krwi, hamujące grypę w zarodku. Biesiadnicy przesyłali popularnemu panu Łaszczowi życzenia zdrowia i wielki glon tortu, który Franek rozwijał z papieru.

Następnego dnia pan Seweryn wstał bez dreszczy, osłabiony niepewnością i malinami prasowaczki.

8.

WIOSNA już w całej pełni. Na gazonach parku miejskiego wysadzono gęste rzędy holenderskich tulipanów Najpiękniejsze są różowe. Żółte najbardziej nęcą owady — zupełnie jak krzykliwa reklama.

Zawiązaliśmy odświętne krawaty, choć słońce dopieka, i szorujemy na uroczyste przyjęcie. Gospodarza znamy, domu jeszcze nie. Gospodarzem jest nasz sąsiad, pan Seweryn Łaszcz, który nakłonił rodziców Lucynki do fety z racji ostatecznego powrotu dziecka do zdrowia. Od stycznia rozgościł się u Kowalczyków na dobre. Zegar za ścianą zrzędzi trzaskiem zeschłych części na opuszczenie. Kowalczykowa witała najpierw dobroczyńcę dziecka z zakłopotaniem. Taki gość! Teraz korzysta, by pozostawić z nim na godzinę rozbrykaną trójkę. Nastawniczemu zmiana przypada często po południu, trzeba po coś do miasta wyskoczyć, a dzieciaki pozabijałyby się same.

Gwar z mieszkania Kowalczyków słychać już w sieni. Lucynka siedzi na honorowym miejscu w wysokim krzesełku, jak tulipan zerwany w parku i wstawiony do wazonu. Marcin i Ulka patrzą na siostrę z zazdrosnym poważaniem. Zbierają się już goście. Jest zażywny lekarz ze szpitala dziecięcego, jest też doktór Anka o gładkim uczesaniu renesansowej Włoszki.

Kolejarz wyczyścił proszkiem guziki niedzielnego munduru i niepewnie dubluje rolę gospodarza. Oboje Kowalczykowie są wytrąceni z równowagi. Sytuacja odbiega od wzorów rodzinnych, przekazanych przez poprzednie pokolenia. Jak ostatecznie ustalić pozycję pana Seweryna w tym domu? Tego bowiem jeszcze nie było. Nie kuzyn, nie chrzestny, nie kolega i nie sąsiad, a przecież coś więcej niż znajomy. Więc jak? Po naradach uchwycili się słowa wuj. Takie oznaczenie związków leży już na pograniczu ogólnika, a zawiera w sobie dużo bezpośredniości. Weszło już w zwyczaj mówić w ten sposób: Lucynka, bądź grzeczna, bo się wuj pogniewa i pójdzie.

Wuj Seweryn odgrzebuje zaśniedziałe talenty towarzyskie. Już Kowalczykowa wniosła dymiącą wazę i zaprasza do stołu. Usiadłem obok doktor Anki, cichej sympatii mego kłapoucha. W rozmowie nawracają oczywiście jak refren: — Łaszcz i Lucynka.

Lekarka wspomina z uśmiechem styczniowe kłopoty. Nie mogła przekonać pana Seweryna, by przyjął pieniądze należne za krew. Nie chciał o niczym słyszeć. Ot, jeszcze jeden upust leczniczy więcej. Przekonał go wreszcie księgowy, fanatyk porządku w rozrachunkach z ubezpieczalnią.

Przypadkowo znam drugi akt tej historii. Partnerką pana Seweryna była w nim poczciwa Łuczakowa. — Pani Łuczak, co się kupuje roczne mu dziecku? — spytał ją, gdy postanowił za całą otrzymaną sumę sprawić małej przyjemność. Prasowaczka pralni Ekspress, zajęta swymi sprawami, nie skojarzyła od razu wypadków. Przybiegła do nas z rewelacją: — Chryste Panie, co się też wyrabia! Pewno z wdową chce się żenić i od dzieciaka konkury zaczyna, czy jak?

Franek odsunął się z krzesłem od stołu i pokazuje lekarzowi szpitala dziecięcego, jak drżą mu dłonie, wsparte na kolanach, oraz łydki. Na pewno chce się pochwalić swym ostatnim sukcesem. Przedwczoraj złożył koszmarny egzamin z fizjologii. U Dworkiewicza nie wystarczy umieć. Taktyczne przygotowanie do natarcia na dziwaka wymaga tyleż zachodu, co właściwe studium przedmiotu. Przez szereg dni Wlazło trenował lęk i pomieszanie — warunek pierwszy, by dobrze usposobić profesora. Drugi również konieczny, lecz też niewystarczający, to umiejętność szybkiego podania ognia. Jakiś gorliwiec potarł zapałkę już w kieszeni i poparzył się. Ale Dworkiewicz to lubi. Bierze ogień po kolei od wszystkich, którzy go podają, na co traci pół papierosa i pyta zadowolony: czemuż koledzy tak się przejmują? Czy naprawdę wyglądam jak tygrys?

Nie wygląda. Franek pokazał mi kiedyś tę wyleniałą czaplę na ulicy. Franek jest dumny, gdyż przez wiele dni obok podręcznika wkuwał siwetne porzekadła chimerycznego fizjologa. Od lat zbiera je tradycja studencka. — Więc proszę powiedzieć, co to jest wątroba? — Takim pociskiem rozpoczął się przedwczorajszy ostrzał frankowej wiedzy. Naiwny, kto by odpowiedział wprost. U Dworkiewicza trzeba inaczej: — Wątroba jest to, według słów pana profesora, komora celna organizmu, która pobiera opłaty w różnej wysokości... Potem dopiero można bąknąć coś z podręcznika. — A co to jest śledziona? — pada druga salwa, już mniej huraganowa. — Śledziona jest to, według słów pana profesora, cichy zaułek naszego ustroju, do którego docierają odgłosy z głównego traktu życia...

Pediatra zaśmiewa się serdecznie. Nie zna Dworkiewicza, gdyż kończył inną uczelnię. Pogratulował Frankowi przebrnięcia przez takie zasieki. Ostatni rocznik boryką się tak z Dworkiewiczem. Chodzą słuchy, że w przyszłym roku fizjolog-wizjoner przejdzie na emeryturę.

Lucynka zaczęła kaprysić, więc matka odnosi ją do drugiego pokoju. Może się dziecko zdrzemnie. Marcin ma tutaj pilnować obu sióstr. Tymczasem my pastwimy się nad rumianą gęsią i sobie sami nie wierzymy. Pan Seweryn żartuje... Łaszcz facecjonistą!!!

Stary introligator powstał i, wykrzywiając pocieszne twarz, pokazuje jak śpiewali tę samą arię wielcy śpiewacy jego młodości.

— Rachelo, kie-edy Pan, w dobroci swej niepojętej...—zawodzi z żałośliwym patosem. Tak śpiewał Salecki. Wszyscy odwracają się ku Łaszczowi. Napewno nikt nie jest bardziej zdumiony od nas dwóch.

— A teraz, proszę państwa. Dygas. Zawsze pluł troszkę na scenę podczas śpiewu. Rachelo, kie-edy Pan. Tfu, tfu!... ...w dobroci swej niepojętej, tfu, tfu, tfu!

Galeria wokalnych wspomnień obejmuje kilka osób. Każdej kreacji towarzyszy inny grymas czy gestykulacja. Zmienia się też barwa głosu. — To wszystko nic — intryguje nas pan Sewervn. — Posłuchajcie, jak ciągnął Sągajłło. Ten miał głos.

— Rachelo, kiedy Pan...

Nie wszyscy znają operę Halevy'go, ale wszyscy się śmieją. Kowalczykowa stoi przez cały czas wsparta o drzwi do drugiego pokoju. Pla snęła rękami z uciechy. — Już jak pan Łaszcz coś pokaże, to tylko się śmiać. A nastawniczy dodaje: — Ale szport, co? No, może się jeszcze napijemy.

Głogowe wino domowego wyrobu ma drażniący, cierpki smak. Orzeźwia w dniu, który stał się naraz parny i grozi nagłą burzą.

9.

STACJA krwiodawstwa wzrastała równie szybko jak Lucynka. Bodaj to dzieciństwo. Każdy miesiąc uwidacznia wzrost rumieńców i tężyzny. Pamiętamy skromne początki w ciasnym willowym mieszkaniu na krańcach miasta. Szło się tam między ogrodami, pośród wysmukłych topoli, które czuwały na skrajach parcel, jak strażnicy. Dziś stacja zajęła całe skrzydło rozległego gmachu kliniki położniczej. Nowa aparatura intryguje i narzuca szacunek. Rozrósł się personel, pomnożyły się szeregi krwiodawców.

Do Franka ci ostatni mówią już, „panie doktorze!", gdy sprawdza im odsetek hemoglobiny. Łaszcz i ja dochowaliśmy wierności znakowi czerwonego krzyża na żółtym polu. Ja łatam studencki budżet, Łaszcz baczy na terminy upustów. Kocha-

(Dokończenie na str. 10)

KREWNIACY

(Dokończenie ze str. 9)

ny łysal zmartwił się bardzo, gdy krew konserwowana zastąpiła bezpośrednie przetoczenia. Nowe ogniwo włączyło się między ludzi związanych ofiarnym nurtem krwi. Zamiast obdarowanego zdrowiem widzisz dziś co najwyżej flakon. Tamten czeka oddalony może o setkę mil, a cząstkę twego życia powiezie mu samolot. Tak jest lepiej — twierdzą lekarze. Za nimi Franek rozwodzi się uczenie o aseptyce.

Myślę, że tak jest lepiej również dla Lucynki. Nikt nie odbierze jej wyłączności wielkiej przygody w życiu starego człowieka. Wielka miłość, wielka przyjaźń i wielka przygoda winny chadzać w pojedynkę.

Łaszcza razi trochę rozmach i świeżość nowej stacji. Zewsząd bije tu aromat lakieru, stąpa się po kokosowych chodnikach, kaflach czy gumie. Ściany w laboratoriach świecą połyskliwą glazurą. Rozgląda się sceptycznie po jasnej poczekalni i trąca mnie w bok.

— Tam było bardziej po domowemu, prawda?

Czekamy obaj na zwykłą kontrolę lekarską. Zdaje się jednak, że dziś nic z niej nie będzie. Na korytarzu zamęt niecodzienny. Noszą zwoje grubego kabla, ramy, reflektory, stojaki. Po cóż to wszystko?

Jak duch - chudzielec, wygłodzony w zaświatach, przesuwa się Franek w kitlu, z białą czapeczką na włosach.

— Nie macie na co czekać. Przyjechał Film Polski. Mają kręcić film o stacji i dziś będzie przymiarka.

Młodzi mechanicy w granatowych kombinezonach i w beretach wtaczają do poczekalni kamerę na ruchomym statywie. Przystanęła przed drzwiami do jądra stacji — boksu, gdzie pobiera się krew. Dyrektor stacji, blondynek krępy, rumiany jak czasem choinkowe cacko w wacie lekarskiego fartucha, krząta się koło nich, zaprasza do wnętrza młodego człowieka o wyglądzie i zachowaniu artysty.

Z poczekalni wszystkich wyproszono. Dyrektor zatrzymał Łaszcza z uwagi na wiek i popularność. Skryłem się w jego cieniu. Przysłuchujemy się dalszej fazie narady nad filmem o krwiodawstwie.

— .. film ma być fabularny — cedzi przez zęby filmowiec — ...jakaś historia życiowa, związana z obiektem, aktualna, z perspektywami na przyszłość...

— Czy tu też zrobimy próbne zdjęcia? — wtrąca się operator.

— Później, Karol, później. Co to ja... Oczywiście pozytyw. Rozumiecie, doktorze? Ale nic z taniego happy-endu.

— Więc może zakończyć — doradza dyrektor Dymecki — słowami z pamiętnika profesora Hirszfelda. Chwileczkę, to było zdaje się tak... Hasło jednego z kongresów krwiodawstwa: Nadejdą czasy, gdy jedyną formą przelewu krwi będzie jej oddawanie chorym...

— Słyszy pan? To jest dopiero powiedziane — trąca mnie znów pan Seweryn.

Nadeszła Anka. Ona, dyrektor, Franek i inni grzebią w pamięci. Przerzucają dzieje strumienia krwi, któremu wytyczyli łożysko. Pierwszy na pomysł wpadł Franek.

— A może Florczykowa. To był naprawdę wstrząsający przypadek.

— Tu nie chodzi o wstrząsające przypadki — grymasi reżyser. —Daj cie Coś typowego. Świeży, jeszcze parujący kęs życia, ale typowy. Czy widział kto „Złodziei rowerów"? To jest, ee, robota, co? Bah! Ale to kręcił Vittorio de Sica. Wiadomo, kto jest de Sica.

Łaszcz przysłuchiwał się rozmowie w napięciu. Ręce zaczęły mu dygotać. Odciągnął naraz Dymeckiego na bok.

— Panie dyrektorze, a może by tak... Proszę źle nie rozumieć. Ja nie przez zarozumiałość, ale tak sobie myślę... Niech pan posłucha, a taki pomysł: ...Człowiek. Stary, znisz czony przez wojnę chłowiek. Przeżył tragedię, taką z najgorszych. Znienawidził po niej wszystko na świecie i w niebie. Winnych i niewinnych... Już na dnie rozpaczy, że tylko myśleć o skończeniu... Pan rozumie? Odraza do świata. Tak było, panie dyrektorze, tak było.

Wszyscy otoczyli kołem pana Seweryna. Młody filmowiec utracił na raz centralną pozycję i stał się jednym z ogniw okręgu.

— ...aż tu naraz dziecko... Maleńkie, nieporadne, nieomal zagasłe... A przecież straszna siła jest w takiej słabości... Państwo się śmieją, a ja mówię poważnie. Tak jest!

*

CHŁÓD wylazł z zakamarków sądowych sal, a w parku miejskim z drzew ciurkiem kapią liście. Późna jesień biegnie przez miasto. Zbiera się już na szarugi. Lada dzień nastąpi przerwa w spotkaniach z Łaszczem i Lucynką. Ujrzę ich dopiero na posłaniu pierwszego śniegu, gdy ze śmiechem toczyć będą puszyste, białe kule.

Wypłatam im dzisiaj figla. Jeśli przejść trawnikiem, nie zauważą na pewno, tak zatonęli w czymś, co pochyliło wysokie barki pana Seweryna. Znieruchomieli na ławce. Czasem tylko podskoczy czerwony pompon na czapeczce Lucynki. Pewno z niecierpliwości lub przejęcia.

Gałązka trzasnęła pod butem: nie zwrócili na to uwagi. Nie trzeba podchodzić zbyt blisko. Spod kasztana też widać biały arkusz na kolanach Łaszcza. Zdecydowanymi ruchami rysuje dziewczynce ornamenty. Co chwila padają nowe wyszukane zamówienia, poparte oklaskami drobnych piąstek.

— A teraz coś z lasku, wujciu. Dobrze?

Na papierze wykwita z kilku kresek wiewiórka z orzechem w łapkach. Lucynka wodzi paluszkiem po konturach rysunku i napiera się o coś jeszcze.

Łaszcz rozejrzał się. Przechodzi wzrokiem od drzewa do drzewa. Gotów mnie odkryć za chwilę. Klony, wiązy i graby stoją już nagie jak skazańcy obdarci z szat. Księżycową zieleń zachowały tylko srebrne świerki. Stary człowiek pochylił się naraz nad papierem i wymachuje ołówkiem.

Nie widziałem jej nigdy, a jednak poznaję od razu. Na pewno ta sama. Wytłoczona kiedyś złotem w zielonkawej skórze. Godło nieznanego leśnika na historii Rzymu.

— Ładna syska — Lucynka bije piąstkami z radością w kolana.

A może pan Seweryn miałby mi za złe tę niedyskrecję? Czy nie należałoby krzyknąć: — Panie Łaszcz! Stoję tu za wami. Czy do Lucynki po prostu: a kuku!

— A teraz bajeckę, wujciu. Bajeckę.

Łaszcz jest przyzwyczajony do zmiany życzeń. Bez słowa składa arkusz i znów rozgląda się w poszukiwaniu natchnienia. Odruchowo kryję się za pień kasztana.

Posadził dziecko na kolanach i wskazuje mu skraj parku. Z czworokątnego komina palmiarni, która jest dumą naszego miasta, bucha słup dymu. Czerniawy pióropusz gnie się w uściskach wiatru. Łaszcz rozpoczął bajkę i przekonuje dziecko, że dym to ptaszy rumak. Szczęśliwy, kto go dosiąść potrafi. Pyta Lucynkę, czy widzi kruczowłosego chłopczyka, który bodzie niecierpliwie ostrogami miękkie kłęby. Nie jest to potrzebne, gdyż dym i tak pędzi galopem do nieznanego kraju chmur i obłoków.

Wkroczyłem już w ten niebezpieczny okres u schyłku młodości, gdy często załamuje się podziw dla świeżości uczuć, a rodzi się szacunek dla rutyny. Potocznie zwą to zrównoważeniem. Często budzi się we mnie niepewność i zażenowanie wobec takich scen, jak ta właśnie. Może naprawdę byłbym niewygodnym świadkiem?

Liście gniewnie szeleszczą pod nogami, a z tyłu goni za mną rozbawiony śmiech dziecka. Dobrze im ze sobą. Nic dziwnego — powiedziałby pan Seweryn. — Przecieśmy krewniacy, Lucynko. Prawda?

Leszek Prorok

Podaje się do wiadomości prenumeratorów, że począwszy od dnia 16 lutego br. prenumeratę należy zamawiać tylko w placówce pocztowej właściwego rejonu doręczeń, na terenie którego zamieszkuje prenumerator — odbiorca.

Andrzej ODNOWA

Hauptmann po raz pierwszy po wojnie

ZNACZENIE Gerhardta Hauptmanna rośnie w dzisiejszych postępowych Niemczech na tle ostrej krytyki, jakiej poddaje się tam przeszłość własnej literatury. Zwłaszcza literatury XIX w.

Taki np. wybitny krytyk niemiecki, jak Herbert Ihering, twierdzi w swej powojennej „Dramaturgii berlińskiej", że po „Werterze" Goethego niemal do końca wieku nie powstało w prozie niemieckiej żadne dzieło o randze światowej. Proza niemiecka traciła po r. 1848 coraz bardziej na jędrności. Stawała się albo z dziennikarska płaska, albo idyllicznie wątła, tonąca w półcieniach. Nie mając siły artystycznego wyrazu, spadała do poziomu zwykłej relacji lub też odrealniała się, chorując na przerost liryzmu. W teatrze wagnerowska „synteza sztuk" narobiła wprawdzie wiele huku, ale przyniosła w skutku zmącenie myśli i zepsucie języka, a pełne zgiełku słów opery Ryszarda Straussa dopełniły dzieła zniszczenia.

Scena z I aktu „Bobrowego futra": Ludwik Tatarski (Wolff), Zdzisław Szymański (Mitteldorf), Wanda Łuczycka (Wolffowa)

Z tym obrazem stylistycznego i myślowego upadku kontrastuje wczesna twórczość słynnego naturalisty w dramacie, Gerhardta Hauptmanna. Odcień społeczny jego naturalizmu słabł co prawda z biegiem czasu. I ten pisarz nie uchronił się, zwłaszcza później, przed narkotyzującym wpływem symbolistycznych tendencji neoromantyzmu. Niemniej z młodym Hauptmannem i jego „Tkaczami", „Bobrowym futrem" i „Florianem Geyerem", podobnie jak wkrótce z twórczością Tomasza Manna, literatura niemiecka odzyskała na powrót znaczenie światowe. **„Młody Hauptmann** — tak podsumowuje ten okres Georg Lukacs — **realizuje tęsknoty lat 80-ych: zbliża do rzeczywistego życia współczesności; kształtuje postacie z ciała i krwi, mówiące prawdziwą mową; tworzy bliską ludu sztukę, w której znajdują wyraz problemy epoki".** Jednym słowem, Hauptmann wnosi w zakłamanie idealistyczną atmosferę literacką cesarskich Niemiec świeży powiew realizmu.

Realizm też ponad wszystko inne uderza widza w „Bobrowym futrze", oryginalnej satyrycznej „komedii złodziejskiej" z 1893 r. Ukazuje ona kawałek prawdziwego życia epoki wilhelmińskiej i jest tu nad czym się zadumać zarówno moraliście, jak i socjologowi. Oto sprytna praczka drobnymi złodziejstwami na własną rękę koryguje nierówności ustroju — i nie dziwi nas zbytnio ani oburza—budzi nawet po trosze sympatię. Głębszą refleksję wywołuje dopiero amoralizm tej przedstawicielki drobnomieszczańskich dołów: Wolffowa najspokojniej przepytuje córkę z przykazań boskich, z świętym przekonaniem powtarza moralne zasady, które — obliczone jednak na wyższy, przyzwoity poziom egzystencji — jej samej jakby w ogóle nie dotyczyły. A oto druga kapitalna postać komedii, naczelnik Wehrhahn — nomen-omen militarysty. W zapale tropienia wywrotowców odgraża się prawomyślnym obywatelom, nie dostrzega zaś poszlak wiodących ku złodziejce, wynosi ją zgoła jako chodzącą zacność. Patrzymy ze zdumieniem na tę znakomitą parę, widząc już w niej uosobienie tego sojuszu, który po latach miał się dobrze dać we znaki w hitleryzmie: sojuszu pruskiego junkierstwa i drylu z kompleksową zawiścią drobnomieszczaństwa, które również wyruszy w świat, by wzbogacić się na wojence.

Ale to są już dalekie ideowe przedłużenia komedii Hauptmanna. Jej właściwa fabuła, zbyt przygodna i błaha, nie prowadzi wprost ku takiemu uogólnieniu i aktualizacji. Świetna w rysunku postaci, głęboko prawdziwa w oddaniu atmosfery życia, kompozycyjnie komedia ta kryje w sobie jakąś organiczną niedostateczność i nasunąć musi największe trudności w inscenizacji i reżyserii. Jak na bogactwo zawartej w komedii realistycznej obserwacji „Bobrowe futro" jest za mało rozwinięte w swej dramatycznej konstrukcji. Podczas gdy odwrotnie, na prawie beztroską, przekorną pointę komediową środowisko odmalowane jest w sporych 4 aktach zbyt szeroko.

Ta organiczna dysproporcja kompozycyjna „Bobrowego futra" uderzała już sprawozdawców pierwszego polskiego wystawienia tej komedii w 1917 r. w warszawskim Teatrze Małym. Kiedy mimo rozgłosu, jaki poprzedził hauptmannowską satyrę na pruskie junkierstwo, sztuka schodziła po 7 przedstawieniach bezpowrotnie ze sceny, jeden z recenzentów pisał o blado wychodzącej — na skutek ciężkiej 4-aktowej budowy — myśli sztuki, a i drugi nazywał utwór **„dziwnie połamanym kompozycyjnie".** Niezdecydowana również po współczesnym przedstawieniu końcowa reakcja widza potwierdza chyba tę opinię i fakt wyjątkowych trudności stających tu przed reżyserem.

Trudności te wyminął po wojnie Berliner Ensemble Bertolta Brechta, nie dając w ogóle „Bobrowego futra" jako samoistnego utworu, lecz łącząc je przy odpowiednich skrótach z drugą komedią Hauptmanna o Wolffowej i Wehrhahnie, z „Czerwonym kurem" z r. 1901. Wolffowa przekształca się tu na starość w zbrodniczą spekulantkę i podpala swój domek dla podjęcia ubezpieczenia, a Wehrhahn obraca rzecz jeszcze energiczniej przeciw wrogim elementom; oboje zostają w końcu zdemaskowani. Historyjkę o bezstroskich złodziejstwach (lustige Diebereien) rozwinął zatem twórca niemiecki w szerszy obraz społeczny, ułatwiając sobie tym zabiegiem dramaturgicznym rozwiązanie sprawy stylu widowiska.

INSCENIZACJA i reżyseria **Stanisława Daczyńskiego** w Teatrze Narodowym (asystent: **Tadeusz Łomnicki**) nie poszła na żadne daleko posunięte adaptacje czy aktulizację, nie wyprowadziła poza granicę tej wiedzy o rzeczywistości społecznej, jaką posiadały postacie sztuki i sam autor, trzymała się raczej wiernie oryginału Hauptmanna. Nie troszcząc się zbytnio o stylowe dysproporcje, łączyła z umiarem, ale i bez większej inwencji rozległy obraz środowiskowy z bezpretensjonalną komedią plebejską, komedią o wyprowadzeniu w pole panów przez kobietę z ludu. Przy tym ujęciu, przy nadanym całości tempie raczej powolnym, pointy, zwłaszcza końcowa, nie wypadły dość efektownie i ostro. Pewien indywidualny akcent reżyserski przejawił się może przede wszystkim we wzmocnieniu postaci postępowego inteligenta, dr. Fleischera **(Zygmunt Maciejewski).** Na dobrą sprawę mógłby i on być potraktowany z lekka satyrycznie: tu chyba budzić miał raczej sympatię, a wypadł trochę na jakiegoś niemieckiego wyznawcę Tolstoja, zdobywając się jednak w zakończeniu na mocne słowa protestu. Rola niewątpliwie za mało w swym kierunku zdecydowana.

Niemal sympatycznie zaprezentował się — tu już chyba wyraźnie wbrew intencji reżysera — ośmieszony przez autora rentier Krüger. **Tadeusz Fijewski** przydał mu wiele mniej istotnej śmieszności, natomiast za mało wydał na śmiech jego anachronizm polityczny: Krüger z uporem starego kapitalisty-liberała upomina się o swoje konstytucyjne, obywatelskie prawa jednostki, podczas gdy z Wehrhahnem wchodzi już na scenę imperializm z jego zawieszeniem wolności politycznych jednostki dla obrony przywilejów społecznych klasy. Fijewski poddał się zbytnio oddziaływaniu widowni, grał przy tym w II akcie trochę nerwowo, choć w całości dał sylwetkę nader ciekawą.

W ogóle pod względem roboty aktorskiej przedstawienie „Bobrowego futra" stało na wysokim poziomie. **Wolffowa Wandy Łuczyckiej** była autentyczną przedstawicielką lumpenburżuazji. Pełna żywotności, rezolutna i sprytna demonstrowała jeszcze i tę przewrotną sztukę zjednywania sobie bliźnich i... widowni, mimo niedwuznacznej obłudy swego postępowania. Również w roli jej prymitywnego męża **Ludwik Tatarski** stworzył postać świetnie utrzymaną w duchu sceny naturalistycznej. Córki Wolffów nie zostały może dość ze sobą skontrastowane. **Maria Krawczykówna** jako młodsza, Adelajda, dobrze pojęła swoją rolę cwanej, wcześnie zepsutej i chyba uprzywilejowanej w domu, nieodrodnej córki swej matki; w wykonaniu nie zawsze całkowicie to przekonywało. W dublowanej roli starszej, Leontyny, bardziej niemiecka i ludowa była **Halina Gluszkówna,** która ujawniła też pewien rys cofnięcia w rozwoju i pokrzywdzenia w rodzinie; **Barbara Klukowska** zdawała się nie mieć wyraźnej linii swej roli.

Znakomitą postać stworzył jako Wehrhahn **Wiktor Biegański** łącząc typowe realistyczne cechy pruskiego junkra-biurokraty w uogólnienie dyskretnie satyryczne. Ważną rolę grały w tej postaci buty, krok, świetny był ruch ręki — odsuwający się od hołoty, głos tubalny przechodził niekiedy w przenikliwy krzyk jakby już przyszłego gestapowca. Cała postać wyrażała — przy woli siły — ukrytą w głębi słabość, wyraźną np. w stosunku do rzeczywiście mocnej indywidualności Wolffowej. Z całego szeregu interesująco i prawdziwie zagranych postaci dalszych: Motesowie **(Jerzy Kawka i Danuta Wodyńska),** przewoźnik Wulkow (trochę zbyt dobroduszny **Władysław Kaczmarski),** strażnik Mitteldorf **(Zdzisław Szymański** chyba za daleko posunął jego dekadencję i zaniedbanie) — należałoby szczególnie wyróżnić rolę pisarza Glasenappa, zagraną przez **Rudolfa Gołębiowskiego,** rolę pełną umiaru i czujności, bogatą w dyskretne, złożone odcienie usłużności wobec szefa i ironii wobec całego świata.

W przedstawieniu nie w pełni doszedł do głosu koloryt lokalny środowiska. Wyraźny w scenach w urzędzie, zawodził w scenach u Wolffów. Mało niemiecka była nawet sama Wolffowa. Pisano już o stole jadalnym u Wolffów, elemencie, który musi w mieszczańskim domu niemieckim grać rolę znacznie ważniejszą.

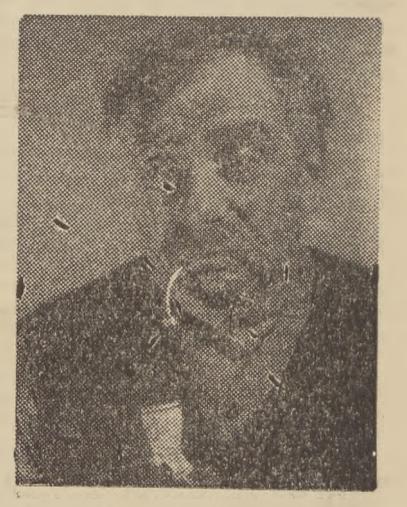

Ludwik Tatarski jako Juliusz Wolff fot. C.O.P.A.

Można by mieć również zastrzeżenia wobec całowania rąk na dobranoc. W okolicach Berlina dzieci, zwłaszcza tak już duże, co najwyżej kordialnie potrząsają ręce rodziców, choć i to wydaje się tam uczuciową przesadą.

Oprawa plastyczna **Romualda Nowickiego** była prawdziwa i stworzyła nastrój. U Wolffów bardzo na miejscu była typowo niemiecka serwetka z napisem nad kuchnią. Motto o Morgenstunde, co ma Gold im Munde (kto rano wstaje...) ironicznie kontrastowało z przewodnim motywem życiowej filozofii Wolffowej: „Pracą niewiele się dorobisz". W dekoracji kancelarii przegroda między częścią urzędową a częścią dla petentów pełniła jakąś funkcję symboliczną i dobrze podkreślała biurokratyczny i władczy charakter pruskiej państwowości.

DUSZA I CIAŁO

pośrednio lub bezpośrednio na Platona i wskazująca na przypadkowy charakter połączenia duszy z ciałem w człowieku, druga czerpiąca natchnienie z Pisma św., podkreślająca godność ciała i wiążąca w człowieku pierwiastek duchowy z materialnym. Obie te tendencje prowadziły niekiedy do głębokich konfliktów wewnętrznych u jednostek. Wystarczy przytoczyć tu dla przykładu owo sławne już powiedzenie Alchera z Clairvaux, symptomatyczne dla tej rozterki intelektualnej, jakiej ulegali niekiedy wielcy myśliciele, gdy chodziło o sprawy związane z wytłumaczeniem natury człowieka.

„Ciało jest dla duszy więzieniem — pisze Alcher — *a jednak dusza kocha to swoje więzienie“ (amat carcerem suum).*

JEŻELI prawdą jest, że ciało jest elementem wchodzącym w skład naszej istoty, i jeśli człowiek to nie sam duch, ale także i ciało, to jednakże pozostaje w dalszym ciągu otwarta kwestia natury człowieka. W jaki sposób dusza połączona jest z ciałem i jaką rolę odgrywa ciało w tym przedziwnym zespoleniu? Czy człowiek jest tylko zlepkiem dwóch substancji, czy też połączenie duszy i ciała jest ściślejsze i istotniejsze? Pojawiające się próby rozwiązania problemu natrafiają jednak na zasadnicze trudności. Zwolennicy idei jedności człowieka stawali wobec problemu uzasadnienia nieśmiertelności duszy i jej pośmiertnej egzystencji, dla zwolenników idei przeciwnej węzłem gordyjskim był problem zmartwychwstania ciał.

Filozofia średniowieczna do XII w. zdawała się być wobec tego dylematu bezradna i trzeba dodać, że przy stosowaniu dotychczasowych metod rozwiązania tego problemu znaleźć nie mogła. Jest rzeczą znamienną, że myśl platońska, która przez tyle wieków służyła za jedyne narzędzie w wyjaśnianiu rzeczywistości, wyczerpała tutaj swoją inwencję; nie dawała możności rozstrzygnięcia problemu człowieka w duchu innym jak dualistyczny.

Odbiegnięto wprawdzie daleko od owej skrajnej platońskiej koncepcji człowieka-ducha, ale w praktyce pozostały głęboko zakorzenione dawne przyzwyczajenia, sama zaś teoria nie mogła podołać napotykanym trudnościom. Dała się przeto odczuwać coraz wyraźniej potrzeba nowego, precyzyjniejszego narzędzia myślowego, które odpowiedziałoby coraz głębiej rozwijającym się potrzebom intelektualnym. Nie wystarczała już bowiem świadomość, że coś ma się tak a tak; chciano ponadto zrozumieć, dlaczego jest tak a tak i w jaki dzieje się to sposób. Tym nowym narzędziem stała się filozofia Arystotelesa.

Odkrycie Arystotelesa przez Średniowiecze i nowe zetknięcie się z jego pismami przez zachodnią Europę było największym obok powstania uniwersytetów wydarzeniem w życiu umysłowym tego okresu, a recepcja myśli wielkiego Stagiryty przez chrześcijaństwo w w XIII jest faktem prawie bez precedensu.

Nie będziemy tu śledzić owej drogi, jaką przebyły pisma Arystotelesa z Grecji do Europy ani badać kolejnych etapów przyswajania filozofii chrześcijańskiej poglądów Arystotelesa i oczyszczania ich z wpływów neoplatońskich; dla celów niniejszego szkicu wystarczy, jeśli zapoznamy się z głównymi rysami myśli perypatetyckiej dotyczącej koncepcji człowieka i zestawimy ją z omawianą powyżej teorią platońską w tym celu, aby wyrobić sobie prawidziwie chrześcijańskie rozumienie natury człowieka.

Doniosłość filozofii Arystotelesa polega na tym, że przezwyciężyła ona platoński dualizm idei i świata materialnego, nie mający swego uzasadnienia w rzeczywistości i prowadzący w swych konsekwencjach — jak to wykazały jego późniejsze dzieje — do głębokich wypaczeń i deformacji rozumienia samej rzeczywistości. Materia i idea (Arystoteles używał nazwy odpowiadającej łacińskiemu terminowi „forma“) nie są odrębnymi, niezależnymi od siebie bytami, lecz tworzą jedynie realne składniki każdego bytu. W każdej konkretnej jednostce istnieje coś, co stanowi o jej przynależności do określonego gatunku (ogólna idea, forma), oraz elementy zmienne powodujące różnice między jednostkami tego gatunku (Arystoteles upatrywał tę różnicującą przyczynę w materii). Nie istnieje — jak chciał Platon — sprawiedliwość jako taka, ale jedynie ktoś sprawiedliwy, ani człowiek jako idea, tylko poszczególni ludzie, nie istnieje też sama materia bez jakiejś postaci czy ukształtowania, tzn. połączenia z formą, natomiast istnieją byty, w których możemy na drodze analizy rozumowej wyłuskać owe składniki, mianowicie to, co

Dokończenie ze str. 4

jest kształtowane, co ma zdolność stawania się i przyjmowania nowych cech, używając przyjętego określenia, co jest *możnością*, oraz to, co ma zdolność realizowania tej możności, zdolność kształtowania, czyli *aktu*.

Każda rzecz, która nabywa nowych cech, inaczej mówiąc zmienia się, zyskuje to, czego przed tym nie miała, nabywa to, co w danym podłożu nie istniało w ogóle Ujmując rzecz najogólniej powiemy, że aby możliwe było przejście od tego, czego jeszcze nie ma, do tej fazy, w której coś już jest, koniecznie musi istnieć jakieś „jest“, tzn. byt zaktualizowany, będący w akcie. To rozróżnienie dwóch elementów składowych bytu jest najogólniejszą analizą, a zarazem najbardziej podstawową i empiryczną, jaką możemy przeprowadzić na wszystkich kategoriach bytu, oprócz bytu najwyższego, który zgodnie z wynikami rozumowań Arystotelesa musi być bytem prostym i niezłożonym. Szczegółowym zastosowaniem wyników tej analizy jest w dziedzinie bytów podpadających pod zmysły nauka o materii i formie, którym na terenie koncepcji człowieka odpowiadają pojęcia ciała i duszy.

W koncepcji Arystotelesa, którą przejął, rozwinął i pogłębił później św. Tomasz dusza pozostaje w takim stosunku do ciała jak materia do formy. Nie są to dwie samoistne z natury substancje, które łączą się razem w człowieku, ale składniki tej istoty, której na imię „homo“. Człowiek nie jest duchem, który współistnieje z ciałem, ale substancjalną jednością psycho-fizyczną. Dusza ludzka jest z natury swej powołana do bytowania z ciałem i dlatego nie można jej nazwać, podobnie jak i ciała — pełną substancją, gdyż substancją jest dopiero cały człowiek Kiedy myślimy o ciele czy duszy lub o ciele wraz z duszą bez uświadamiania sobie ich substancjalnej jedności, myślimy wówczas nie o człowieku, lecz o aniele lub zwierzęciu, a w ostatnim wypadku o aniele zamkniętym w ciele człowieka. Człowiek nie jest aniołem i nie powiększy po śmierci ciała grona aniołków, jak to sugerują często napisy nagrobkowe na naszych cmentarzach — lecz jest bytem postawionym pośrodku między światem duchów czystych a światem zwierzęcym: *„in medio positus est homo“* (Hugon od św. Wiktora).

W takim rozumieniu istoty człowieka śmierć nie jest dla niego wyzwoleniem z więzów cielesnych, nie jest sama w sobie niczym dobrym, przeciwnie, jest najgorszym złem, jakie nas może spotkać w porządku przyrodzonym, jest rozdarciem natury człowieka — ostatnim najcięższym skutkiem grzechu pierworodnego.

Trzeba jednak dobrze rozumieć samą istotę owego rozdzielenia duszy od ciała. Jeżeli człowiek jest jednością substancjalną, wobec tego dusza nawet po śmierci człowieka nie może stracić relacji do ciała, w którym przebywała. Gdyby dusza mogła oderwać się w sposób zupełny od ciała, przestałaby być duszą ludzką. Pozostałaby czymś, co nie byłoby już nami. Nie wchodząc bliżej w problem nieśmiertelności duszy w ogóle musielibyśmy zaprzeczyć naszej osobistej, indywidualnej nieśmiertelności.

Lecz dusza po śmierci nie przestaje być w łączności z ciałem (co prawda nie w sposób realny, lecz wirtualny). Ukonstytuowana wraz z ciałem i związana z konkretną materią nosi na sobie jej piętno, znamię, którego nie może zatracić. Z racji spełniania wyższych czynności umysłowych jest ona istotą duchową i niezniszczalną, ale jej bytowanie po śmierci ciała, chociaż nieskończenie wyższe od ziemskiego bytowania na skutek złączenia z Bogiem, nie jest w pełni doskonałe. Pełnia szczęścia dla człowieka jest możliwa tylko wtedy, gdy dusza połączy się na zawsze z ciałem. Oczekiwać będzie ona na zmartwychwstanie ciał, które dopełni dopiero naturę człowieka, na zmartwychwstanie, które w naszych poglądach jest logiczną konsekwencją właściwego rozumienia istoty człowieka.

Święto Zmartwychwstania jest dla nas okazją do uświadomienia sobie prawd o wielkości i godności człowieka, o jego pozaziemskim powołaniu, a zarazem o obowiązkach wobec ciała i wobec zewnętrznego świata, w którym żyjemy. Wszystkie nasze wysiłki i praca zmierzająca do zapewnienia człowiekowi warunków materialnego bytowania nabiera ją swoistego znaczenia wobec problemu zmartwychwstania. Godność ciała, którego zmartwychwstanie zapewni nam dopiero pełną szczęśliwość, podnosi jednocześnie godność tych spraw, które są związane z ciałem człowieka, ciałem, które nie jest jakimś dodatkiem do naszej natury, ale jej niezbędnym i istotnym elementem.

Władysław Seńko

---

* * *

Wiatr i noc nad Kalwarią.
Gaśnie w zmierzchu ostatnie listowie.
Ptak zaśpiewał i umilkł. Parno.
Na co patrzysz? Co widzisz? Odpowiedz...
Sen przyleciał, ogarnął miasto,
Uczni Twoich falą kołysał.
Tyś bezsennie oddany gwiazdom.
Powiedz... coś ujrzał, coś słyszał?
Te darniny, uparte jak ręce
Drą Ci szaty i szarpią włosy...
Tylko wiatr i ciemność — nic więcej.
Jakich jeszcze nadsłuchujesz głosów...?
Twarz oblana potem jak łzami,
Goreją oczy wydarte ciemnościom.
Chodź, chodź, Chryste — pójdziemy sami,
Ty i cień Twój naprzeciw śmierci

Barbara Grubner-Eysymontt

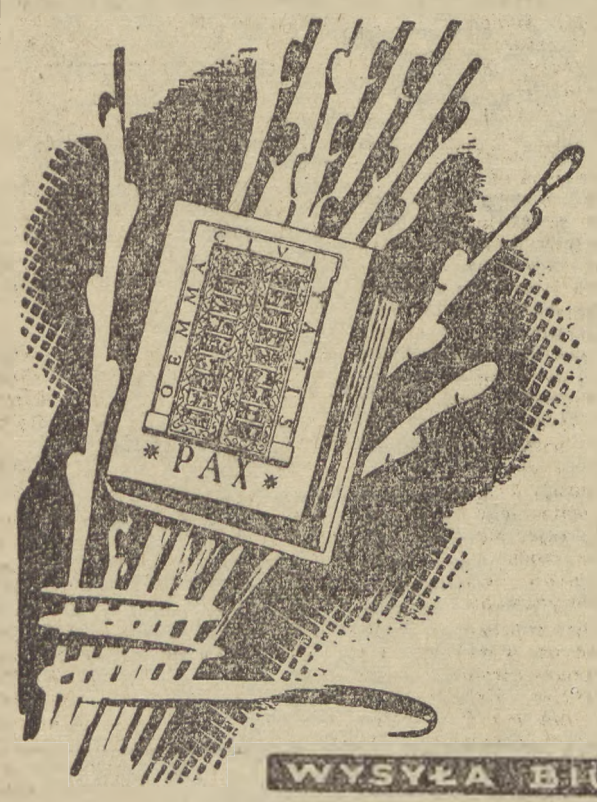

NOWY TESTAMENT
Przekład Ks Prof. E. Dąbrowskiego
Cena zł 32,—

Krystyna Wróblewska
OJCZE NASZ
Drzeworyty
Cena zł 36,—

J. Nowak-Dłużewski
Ks. STANISŁAW KONARSKI
Cena zł 20,—

Graham Greene
BROŃ NA SPRZEDAŻ
Cena zł 22,—

Jan Dobraczyński
KLUCZ MĄDROŚCI
Cena zł 28,—

ARKUSZE POETYCKIE
10 Autorów
Cena zł 12,—

Paweł Jasienica
WISŁA POŻEGNA ZAŚCIANEK
Cena zł 20,—

G. K. Chesterton
PRZYGODY Ks. BROWNA
Cena zł 18,—

Jerzy Liebert
POEZJE ZEBRANE
Cena zł 25,—

Sigrid Undset
OLAF SYN AUDUNA
2 tomy
Cena zł 76,—

Ks. Prof. E. Dąbrowski
PROLEGOMENA DO NOWEGO TESTAMENTU
Cena zł 20,—

Andrzej Łepkowski
LUDZIE ZNAD ZATOKI
Cena zł 15,—

Włodzimierz Wnuk
WIOSNA NAD MOTŁAWĄ
Cena zł 20.—

Tadeusz Gajcy
UTWORY ZEBRANE
Cena zł 25,—

Aleksander Rogalski
KATOLICYZM W NIEMCZECH PO II WOJNIE ŚWIATOWEJ
Cena zł 20,—

Św. HIERONIM: LISTY
Przekład Ks. Prof. Jana Czuja
Cena zł 34.—

Janina Kolendo
SZUKAJĄC DROGI
Cena zł 20,—

WRÓG POZOSTAŁ TEN SAM
Zbiór Artykułów
Cena zł 3,—

Georges Bernanos
ZAKŁAMANIE
Cena zł 20,—

Antoni Gołubiew
BOLESŁAW CHROBRY
4 tomy
Cena zł 112,—

św. Augustyn
PISMA KATECHETYCZNE
Cena zł 20,—

Zygmunt Lichniak
POETA KONSEKWENCJI
Cena zł 12,—

LISTY Św PAWŁA APOSTOŁA
Przekł. Ks. Prof. E. Dąbrowskiego
Cena zł 16,—

Joseph Conrad
OPOWIEŚCI WYBRANE
Cena zł 22,—

Zbyszko Bednorz
DZIECI I BAGAŻE
Cena zł 15,—

Maciej J. Kononowicz
W RAMIONACH SREBRNYCH RZEK
Cena zł 15,—

Stefania Skwarczyńska
STUDIA I SZKICE LITERACKIE
Cena zł 45,—

Jerzy Krzysztoń
OPOWIADANIA INDYJSKIE
Cena zł 22,—

Tadeusz M. Milewski
GEOGRAFIA WYŻYWIENIA
Cena zł 25,—

Etienne Gilson
WPROWADZENIE DO NAUKI Św. AUGUSTYNA
Cena zł 45,—

Pär Lagerkvist
BARABASZ
Cena zł 18,—

Georges Bernanos
RADOŚĆ
Cena zł 20,—

WYSYŁA BIURO SPRZEDAŻY „PAX“ WARSZAWA MOKOTOWSKA 43

Kilka słów o:

Plastyce

ŚMIERĆ RAOULA DUFY

W ostatnich dniach zmarł w Nicei wybitny malarz francuski, Raoul Dufy. Pochodził on z miasta Le Havre w Normandii i należał do tego pokolenia malarzy, którzy przezwyciężyli impresjonizm. Po tym kierunku pozostała jednak u Dufy'ego wielka pasja kolorystyczna. Najczęściej operował on wielkimi plamami czystych barw, silnie skontrastowanych. Typowe dla jego malarstwa są pełne rozmachu krajobrazy nadmorskie i sceny z wyścigów; pobudzają także wyobraźnię artysty obrazki rodzajowe z życia wielkiego miasta.

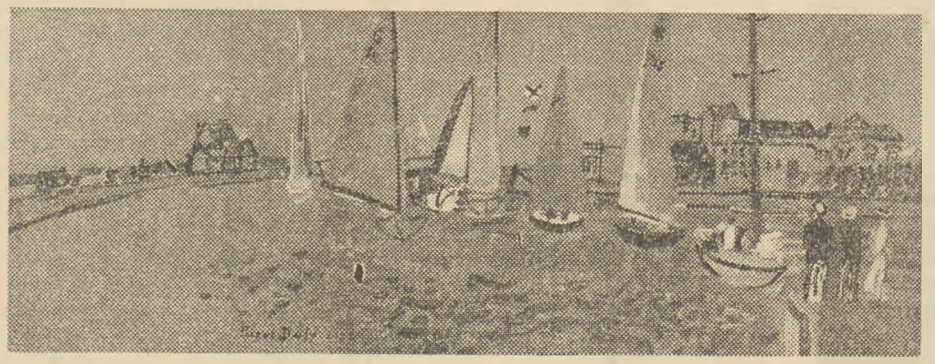

Krótko można by scharakteryzować Dufy'ego jako malarza pogodnego nieba, malarza pełnego lekkości i radości życia.

OTWARCIE WYSTAWY POSTĘPOWEJ GRAFIKI WŁOSKIEJ

W dniu 23 bm., w siedzibie Związku Polskich Artystów Plastyków, została otwarta wystawa postępowych grafików włoskich. Wystawa obejmuje około 100 prac wybitnych grafików, między innymi pokazano również rysunki Renato Guttuso, pierwszego cudzoziemca odznaczonego polską Nagrodą Państwową za cykl ilustracji do powieści J. Stryjkowskiego, „Bieg do Fragala".

WYSTAWA SZTYCHÓW W MOSKWIE

W Moskwie, w salach domu Plastyków Radzieckich, otwarto wystawę sztychów i akwafort. Wystawa obejmuje około tysiąca prac artystów moskiewskich, leningradzkich, ukraińskich, estońskich, łotewskich i innych.

„OSTATNIA WIECZERZA" LEONARDA DA VINCI

Jedno z najwspanialszych dzieł Leonarda da Vinci—fresk w refektarzu klasztoru mediolańskiego Santa Maria delle Grazie—już przed wojną znajdował się w stanie budzącym duże zastrzeżenia. Podczas ostatniej wojny klasztor został prawie całkowicie zrujnowany, fresk Leonarda cudem ocalał, zabezpieczony jedynie prowizoryczną ochroną z cegieł i zaprawy murarskiej. Przez siedem lat po wojnie, mimo że fresk był w stanie godnym opłakania, nikt nie interesował się jego restauracją. Dopiero obchód 500-ej rocznicy, zainicjowany przez Światową Radę Pokoju, przypomniał mediolańczykom o ruinie tego wielkiego dzieła. Konserwację powierzono znanemu artyście-restauratorowi, M. Pelliccioli. Obecnie trwają prace nad uratowaniem dla świata dzieła wielkiego Leonarda.

10 LAT WOJSKA POLSKIEGO W PLASTYCE

Muzeum Wojska Polskiego opracowuje wystawę pt. „10 lat Wojska Polskiego w plastyce". Wystawa, której otwarcie przewidziane jest na jesieni tego roku w gmachu „Zachęty", stanowić będzie jeden z ważnych elementów obchodu 10-ej rocznicy bitwy pod Lenino — dziesięciolecia odrodzonego Wojska Polskiego.

Muzyce

PIANISTA CZESKI W POLSCE

25 marca, w sali NOT w Warszawie, wystąpił doskonały pianista czeski — znany nam już zresztą z poprzednich koncertów w Polsce — Zdenek Jilek. Artysta wykonał Fantazję Chromatyczną i Fugę Bacha utwory Skriabina, Smetany, Suka i Janacha. Studia muzyczne odbywał Jilek w Brnie i Pradze — u prof. W. Kurza. W 1947 r. Zdenek Jilek zdobył pierwsze miejsce na konkursie fortepianowym na festiwalu młodzieżowym w Pradze. Obecnie jest solistą filharmonii i często wyjeżdża na koncerty za granicę. Publiczność przyjęła czeskiego pianistę bardzo serdecznie.

KONCERTY SYMFONICZNE W WARSZAWIE

W sali Teatru Nowego odbył się 20 marca koncert symfoniczny orkiestry Filharmonii Warszawskiej pod dyrekcją St. Skrowaczewskiego. Solista — Zenon Bąkowski — odegrał koncert skrzypcowy D-dur Paganiniego. Młody skrzypek odznacza się pewnością prowadzenia smyczka, niedużym, ale pełnym tonem i konsekwencją w przeprowadzeniu zamierzonej koncepcji dzieła. Na program koncertu złożyły się ponadto: uwertura „Prometeusz" Beethovena i II Symfonia Szymanowskiego.

W tydzień później, również w sali Teatru Nowego, Filharmonia Warszawska wystąpiła z koncertem symfonicznym pod batutą gościa z Bułgarii — Konstantego Ilijewa. Solistą był Henryk Sztompka. Program zawierał Suitę Bułgarską Vladigerowa, Wariacje Symfoniczne na fortepian z orkiestrą Cezara Francka i IV Symfonię Dworzaka.

W 16 ROCZNICĘ ŚMIERCI KAROLA SZYMANOWSKIEGO

Staraniem Filharmonii Warszawskiej, w sali NOT odbył się 21 marca koncert kameralny poświęcony twórczości Karola Szymanowskiego, w 16 rocznicę śmierci kompozytora. Udział w koncercie wzięli: Maria Drewniakówna, Zenon Bąkowski, Waldemar Maciszewski i Sergiusz Nadgryzowski.

OPERA POLSKA W NIEMCZECH

Polska muzyka operowa cieszy się w NRD dużym powodzeniem. Niedawno odbyła się w „Deutsche Staetsoper" w Berlinie premiera „Halki". Przedstawienie zostało przygotowane przy współpracy polskich artystów. M. in. wyjechali do Berlina: L. Schiller, dyrygent M. Mierzejewski, baletmistrz F. Papliński i scenograf J. Kosiński.

Teatr im. Gerhardta Hauptmanna w Goerlitz, który przed rokiem grał już „Halkę" Moniuszki, planuje wystawienie drugiej opery tego kompozytora, „Straszny dwór". Przedstawiciele teatru w Goerlitz: dyrektor teatru Georg Leopold, reżyser Johannes Wieke oraz kierownik muzyczny Robert Hannenel przybyli do Poznania, aby zaznajomić się z przedstawieniem „Strasznego dworu" opracowanym przez operę poznańską.

WYSTĘPY BALETU OLDARRA

We Francji balet ludowy ma minimalne szanse rozwoju i powodzenia przy bulwarowej konkurencji.

Obecnie w Paryżu występuje trupa Oldarra, w której grają pirenejscy górale — Baskowie. Wyjątkowo piękne są narodowe i tradycyjne tańce Basków, takie jak: taniec z szablami, pantomimy baletowe, których treścią jest praca codzienna na roli, wykonane przez młodych, pełnych talentu tancerzy. Występy te cieszą się dużym powodzeniem wśród publiczności paryskiej. Jest to jeden z nielicznych baletów w Paryżu pozbawionych maniery i wpływu Music-hallu, dowód żywotności talentów ludowych.

teatrze

WARSZAWSKA KRONIKA TEATRALNA

Kwiecień i maj zapowiada się ciekawie w teatrach warszawskich. Teatr Polski wystawia przygotowaną już od dawna sztukę o Reju H. Morstina „Polacy nie gęsi" w reżyserii J. Warneckiego, scenografii O. Axera, w Teatrze Nowym na początku maja ujrzą warszawiacy operetkę radziecką „Nie spokojne szczęście" Miltina, libretto Pomieszczykowa, Roszkowa i Tipota. Przedstawienie reżyseruje Józef Wyszomirski. W roli głównej wystąpi Beata Artemska.

Oprócz zaplanowanego repertuaru pracownicy Teatru Polskiego na specjalnym zebraniu postanowili uczcić pamięć Józefa Stalina przygotowaniem i wystawieniem w bieżącym roku sztuki W. Wiszniewskiego „Niezapomniany rok 1919". Będzie to jeszcze jedno dzieło klasycznej rewolucyjnej dramaturgii radzieckiej na scenie Teatru Polskiego.

W ostatnich dniach marca wiceminister Kultury i Sztuki S. Piotrowski odznaczył zasłużonych pracowników artystycznych Teatru Domu Wojska. Odznaczeni zostali Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski — reżyser Ludwik René oraz scenograf Jan Kosiński. Odznaczenia przyznane zostały za wybitne osiągnięcia artystyczne.

OD RACINA DO GREENA

W Comédie Française grany jest obecnie „Mithridate", jedna z rzadziej ukazujących się na deskach scenicznych tragedii Racina. Jak twierdzi znany krytyk teatralny, Jean Mauduit, niesłusznie do tej pory lekceważono tę sztukę, kompozycyjnie jest ona bowiem jednym z bardziej udanych dzieł wielkiego klasyka francuskiego.

Ten sam teatr wystawia równocześnie „Romeo i Julię" Szekspira. Inscenizacja ta jest bardzo krytykowana zarówno ze względu na nie zawsze właściwą interpretację, jak na nie zbyt szczęśliwy dobór aktorów grających główne role.

Theatre de l'Oeuvre dał ostatnio interesujące przedstawienie. Jest to pełna romantyzmu i swoistej egzotyki sztuka „Robinson" napisana przez poetę francuskiego, Jules de Supervielle.

Wydarzeniem sezonu teatralnego stała się adaptacja na scenę „Potęgi i chwały" Grahama Greena, którą paryżanie mogą oglądać we wspomnianym już wyżej Théatre de l'Oeuvre.

NOWE PRZEDSTAWIENIA W TEATRACH BERLINA WSCHODNIEGO

Pierwszy dziecięcy teatr Berlina wystawił mieszczańską tragedię „Luise Millerin" Schillera, w reżyserii laureata nagrody państwowej Hansa Rodenberga. Prasa podkreśla wielką i doniosłą rolę teatru w wychowaniu młodzieży Niemiec Demokratycznych.

Deutsches Theater również wystawił Schillera — „Don Carlos", w inscenizacji laureata nagrody państwowej Wolfganga Langhoffa. Theater der Freundschaft zaś wystąpił z popularną operą Alberta Lortzinga „Car i cieśla". Realistyczna inscenizacja laureata nagrody państwowej — Waltera Felsensteina spotkała się z niezwykle gorącym uznaniem publiczności i krytyki.

Otwarty przed kilku tygodniami Teatr Maksyma Gorkiego wzbudził ogromne zainteresowanie wystawiając sztukę Mirosława Stehlika, „Droga do życia", osnutą na tle „Poematu pedagogicznego" Makarenki.

„Don Carlos" Schillera na scenie Deutsches Theater

filmie

FESTIWAL FILMÓW RUMUŃSKICH

W ostatnich dniach marca wyświetlano w Polsce filmy rumuńskie w ramach Festiwalu Filmów Rumuńskich. Najciekawszą pozycją jest film „Mitria Kokor" odznaczony na zeszłorocznym Międzynarodowym Festiwalu w Karlowych Varach. Film ten, którego treścią są dzieje wsi rumuńskiej na przestrzeni kilkunastu lat, oparty jest na powieści Michała Sadoveanu, odznaczonej nagrodą państwową i Złotym Medalem Pokoju. Ta obiecująca pozycja kinematografii rumuńskiej jest dowodem, że dalsze ambitne plany rumuńskich twórców filmowych zostaną pomyślnie zrealizowane.

Lata 1953 — 55 będą przełomowe dla młodej kinematografii, która planuje w tym okresie nakręcić około 40 filmów długometrażowych, oprócz filmów dokumentalnych, krótkometrażowych i kronik filmowych. Wielką pomocą w realizacji tak imponująco wielkiej liczby filmów będzie wykończone w szybkim tempie rumuńskie miasteczko filmowe w Buftoa, wyposażone w najnowocześniejszy sprzęt.

Szereg zaplanowanych filmów poświęconych jest wielkim ludziom narodu rumuńskiego. Nakręcone zostaną filmy biograficzne o Dymitrze Cantemirze, wojewodzie mołdawskim, o rewolucjoniście Tudorze Wladimirescu, o poecie Mihaili Eminescu, dramaturgu Caragiale i wielu innych. Wiele scenariuszy poświęconych jest dzieciom; powstaną więc filmy o życiu pionierów i młodzieży szkolnej. Zaplanowano także sześć komedii filmowych.

GEORGES SADOUL W POLSCE

Znany francuski krytyk filmowy, czołowy recenzent postępowego tygodnika „Les lettres françaises, Georges Sadoul, gości obecnie w Polsce na zaproszenie Komitetu Współpracy Kulturalnej z Zagranicą.

Aktualia KSIĘGARNIANE

DZISIEJSZY przegląd aktualiów zacznijmy od książek, na których karcie tytułowej wydrukowano już datę 1953 lub — jeśli ktoś woli — MCMLIII, jak na przykład w obu tomach „Pism wszystkich" Stanisława Trembeckiego, wypuszczonych ostatnio na rynek księgarski przez Państwowy Instytut Wydawniczy. Jest to następna po Kochanowskim przyjemna niespodzianka dla miłośników staropolskiej poezji. Wydanie PIW'u — to pierwsza krytyczna edycja wszystkich pism piewcy „Sofiówki", cieszymy się nią bardzo, szkoda tylko, że sporo w niej pomyłek drukarskich i stale musimy zaglądać do niekrótkiej listy erraty. Jedna jeszcze pretensja: czemu — wbrew zapowiedzi „Arkusza Zamówień" — cena obu tomów jest blisko dwukrotnie wyższa (40 zł) aniżeli wolno było oczekiwać? Z uznaniem za to trzeba zwrócić uwagę na ładną oprawę plastyczną „Pism wszystkich", starannie dobrane (i liczne!) fotografie, wśród których są i facsimilia rękopisów Trembeckiego. „Pisma wszystkie" poprzedzone są obszernym wstępem prof. Jana Kotta, który ostatnimi czasy — trochę porzuciwszy klasyków zachodnich — z dużym powodzeniem zajął się okresem polskiego Oświecenia.

Od Trembeckiego przejdźmy do współczesnego mu Ignacego Potockiego, znanego działacza obozu reform z okresu Sejmu Czteroletniego. Ossolineum wydało właśnie pracę o jego zasobnej bibliotece, znajdującej się obecnie w posiadaniu Biblioteki Narodowej w Warszawie (śliczny i na wzór Wilanowa urządzony gabinet starodruków). Dotychczasowe nasze wiadomości o starych bibliotekach są bardzo powierzchowne, dla dziejów zaś kultury i oświaty — rzeczy to pierwszorzędnej wagi. Dlatego z radością witamy (n.b. bardzo starannie i estetycznie wydaną) książkę Jadwigi Rudnickiej. — Skoro już jesteśmy przy wydawnictwach nadzwyczaj żywotnego Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, zasygnalizować warto ukazanie się dawno już zapowiadanej pozycji, która — martwa przez lat sto kilkadziesiąt — stanie się znowu książką „do czytania". Mowa tu o „Grenadierze-Filozofie, powieści prawdziwej wyjętej z dziennika podróży roku 1799", który nawet dla niejednego polonisty był dotychczas tylko tytułem wymienianym przy nazwisku Cypriana Godebskiego. Tekst przygotował do druku i poprzedził go wstępem młody polonista wrocławski, Zbigniew Kubikowski; wydanie ozdobiono podobizną bohatera spod Raszyna, pułkownika Godebskiego.

Chronologicznie, od czasów napoleońskich po okres Restauracji i późniejszy, przeglądając nowe książki, warto sięgnąć i do przekładów, warto wspomnieć o popularnych, w olbrzymich nakładach 90 tys. egzemplarzy, wydaniach dwu arcydzieł Stendhala. „Czerwone i czarne" ukazało się w serii biblioteki „Ekspressu Wieczornego" ze wstępem Boya oraz przedsłowiem pióra Adolfa Sowińskiego. „Pustelnię Parmeńską" wydała „Prasa". Obie powieści ukazały się na papierze gazetowym wprawdzie, za to cena ich jest niezwykle niska i zapewniająca ogromne powodzenie: 2 zł 40 gr za tom. — W podobnym wydawnictwie ukazał się i Maupassant. Dość okazale pod względem rozmiarów prezentującą się książkę, zawierającą wybór najlepszych opowiadań autora „Baryłeczki", wydał „Czytelnik" na zlecenie „Przyjaciółki".

Na zakończenie, wróćmy znów do „Ossolineum" i od Maupassanta zróbmy skok w starożytność. Wyszły bowiem w ramach II serii „Biblioteki Narodowej" „Żywoty sławnych mężów" Plutarcha. Jest to wydanie trzecie, zupełnie nowe (poprzednie dwa ukazywały się w przekładzie F.N. Golańskiego i przeróbce Ignacego Krasickiego). Obecnie mamy tłumaczenie Mieczysława Brożka poprzedzone wstępem prof. Tadeusza Sinki. Życzyć należy Wydawnictwu i... sobie, aby jak najwięcej arcydzieł literatury starożytnej doczekało się podobnych reedycji

(a)

Redaguje zespół.
Prenumerata miesięczna 1.80 zł Kwartalnie 5.40 zł.
Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43, I p., tel. 880 71, 880 26.
Sekretarz redakcji przyjmuje codziennie prócz wtorków i czwartków godz. 11 — 13.
Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
Drukarnia Akcydensowa, Warszawa, Tamka 3. Zam. 691. 4-B-10827.